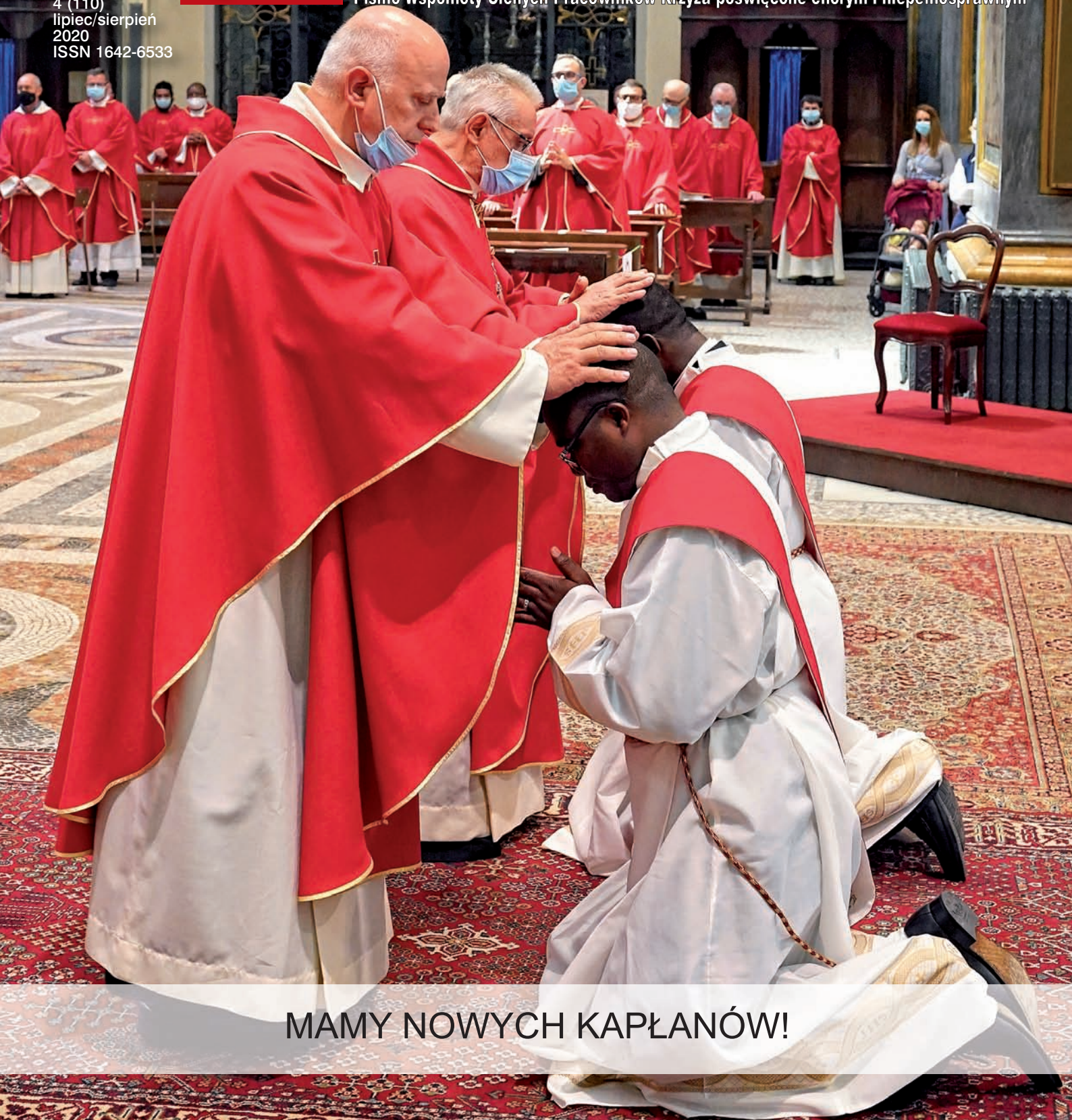


www.cisi.pl

KOTWICA

4 (110)
lipiec/sierpień
2020
ISSN 1642-6533

Pismo Wspólnoty Cichych Pracowników Krzyża poświęcone chorym i niepełnosprawnym



MAMY NOWYCH KAPŁANÓW!



Pismo Święte jest jak orzeźwiająca woda i jak pożywienie, którym karmi się człowiek wierzący. Dlatego zachęcam wszystkich do jak najbliższych i najczęstszych kontaktów ze Słowem Bożym, do otwarcia się na jego działanie, na jego uzdrawiającą i stwórczą moc.

Św. Jan Paweł II



KOTWICA

Nr 4 (110) lipiec / sierpień 2020

Wydawca:
CISI PRACOWNICY KRZYŻA
ul. bł. Luigiego Novarese 2, 67-200 Głogów
tel. 76 833 32 97 tel./fax 76 832 25 87
e-mail: cpk@lg.onet.pl;
www.cisi.pl, www.kotwica.cisi.pl, www.luiginovarese.org
Ofiara na działalność charytatywną wspólnoty:
BZWBK SA I/O Głogów
Nr konta: 66 1090 2079 0000 0005 4404 4515

Redaktor naczelny:
ks. Janusz Malski SOdC

Redaktor wydawniczy:
Izabela Rutkowska

Zespół redakcyjny:
Mieczysław Guzewicz

s. Ewa Figura SOdC
s. Beata Dyko SOdC
ks. Radosław Horbatowski
Adam Stelmach

Korekta:
Joanna Szałapska-Jaskuła

Współpraca przy obecnym numerze:
Ks. Stanisław Staśko

Ks. Luigi Garosio SOdC
Anna Druś
Br. Wojciech Grzegorek SOdC
Krzysztof Małek

Zofia Franciszkiwicz
Br. Roman Płatek SOdC
Br. Jonasz Fąs SOdC
Okładka przednia i tylna:
Święcenia kapłańskie w diecezji Vercelli –
fot. Cisi Pracownicy Krzyża

Współpraca z czasopismem **L'Ancora** – Rzym
Nakład: 6000 egz.

Redakcja zastrzega sobie prawo do adiacji artykułów i listów, dokonywania skrótów i zmiany tytułów. Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.

 Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych
Dwumiesięcznik dofinansowany ze środków PFRON

SPIS TREŚCI

PRZESŁANIE

3 Ks. Janusz Malski SOdC DRODZY CZYTELNICY!

TRWAŁE PRZEWODNICTWO

4 Ks. Luigi Garosio SOdC NASZ ANGIOLINO CZCIGODNYM SŁUGĄ BOŻYM

FUNDAMENTY

6 Papież Franciszek MODLITWA – PAPIESKIE KATECHEZY

DOM

10 Alessandro Mauro MAMY NOWYCH KAPŁANÓW

13 Paulina Nowak MÓJ FILM O „KOTWICY”

ŚWIADECTWO

15 Mieczysław Guzewicz MOJE SPOTKANIE Z MARYJĄ

16 S. Noela Zaniewicz DROGA UFNOŚCI W OKOWACH CHOROBY NOWOTWOROWEJ

20 Br. Roman Płatek SOdC CZAS DOŚWIADCZEŃ. TYLKO BÓG JEST NIEZMIENNY

21 Br. Jonasz Fąs SOdC NIE LĘKAM SIĘ I ŚPIEWAM CHWAŁY PIEŚŃ

NASZA PRYZYSTAŃ

23 NASZA NOWA RZECZYWISTOŚĆ

24 CASTING DO „DOWN THE ROAD”

25 MALINOWY SERNIK NA ZIMNO

26 WARTO POMAGAĆ

MY CVS

27 Zofia Franciszkiwicz CENTRUM Z GDAŃSKA DZIAŁA I ŚWIĘTUJE

28 Br. Wojciech Grzegorek SOdC WSPOMNIENIE BŁ. LUIGIEGO NOVARESE NA ŚWIECIE

WYWIAD

30 Ks. Stanisław Staśko BEZ JEZUSA KRZYŻ NIE MA SENSU

KULTURA

37 S. Beata Dyko SOdC DAWAĆ NADZIEJĘ INNYM

DUCHOWOŚĆ

41 Anna Druś ANGIOLINO BONETTA. KOLEJNY NASTOLATEK ZOSTANIE ŚWIĘTYM

44 Mieczysław Guzewicz STULECIE CUDU NAD WISŁĄ

48 POD TWOJĄ OBRONĘ

PRZESŁANIE

Ks. Janusz Malski Moderator Generalny Cichych Pracowników Krzyża

DRODZY CZYTELNICY!



Bardzo się cieszę, że mam okazję przebywać w sierpniu w Polsce. Przyjechałem tu razem z naszym klerikiem pochodzącym z Togo – Apolinarym, który w najbliższym czasie otrzyma święcenia diakonatu.

Od ponad pół roku nasz sposób życia uległ radykalnej zmianie. Pandemia zmieniła nasze wzajemne relacje, napawając nas niejednokrotnie strachem. Taka sytuacja dotyka dzisiaj mieszkańców wszystkich kontynentów – zarażonych wirusem zostało już ponad 17 milionów ludzi. Codziennie notuje się po ok. 300 tysięcy nowych zachorowań. Ma to wpływ na wszystkie sfery życia, powoduje ogromne straty finansowe, utratę pracy, a przy tym środków do życia. Koronawirus dotknął też sfery duchowej, naszego uczestnictwa i bycia w kościele jako budynku, ale i w Kościele jako wspólnocie. Rodzi się pytanie o rodzaj i formę zaangażowania apostołskiego.

Rozważając tego typu nowe aspekty naszego życia, chciałbym odwołać się do homilii papieża Franciszka, wygłoszonej podczas uroczystości Świętych Apostołów Piotra i Pawła. Wskazał on tam dwa ważne słowa: jedność i prorocтво. W czasie wielkich trudności i prześladowań chrześcijanie trwali zawsze wspólnie na modlitwie – to z niej czerpali odwagę i na niej budowali jedność. Jak mówił papież: „Jedność jest zasadą, która uaktywnia się poprzez modlitwę, ponieważ modlitwa pozwala Duchowi Świętemu, by wkroczył, by otworzył na nadzieję, by skrócił dystanse, utrzymywał nas razem w trudnościach”. Dodaje dalej: „Bóg oczekuje, że kiedy się modlimy, będziemy pamiętać także o tych, którzy nie myślą tak, jak my, o tych, którzy zamknęli nam

drzwi przed nosem, o tych, którym trudno nam przebaczyć. Tylko modlitwa toruje drogę ku jedności”.

Franciszek wskazuje, że dzisiaj potrzeba nam także prorocтва – nie czczych słów, obiecujących niemożliwe, ale świadectwa, że Ewangelia jest możliwa. Zadaje nam pytanie: „Ale co czynisz, aby Kościół był prorocki? Potrzebne są egzystencje ukazujące cud miłości Boga. Nie trzeba mocy, ale konsekwencji. Nie słów, lecz modlitwy. Nie proklamacji, ale służby. Jeśli chcesz Kościoła prorockiego, zacznij służyć. Milcz. Nie trzeba teorii, lecz świadectwa. (...) Potrzebujemy nie tyle skutecznych projektów duszpasterskich, ale pasterzy ofiarujących swe życie”.

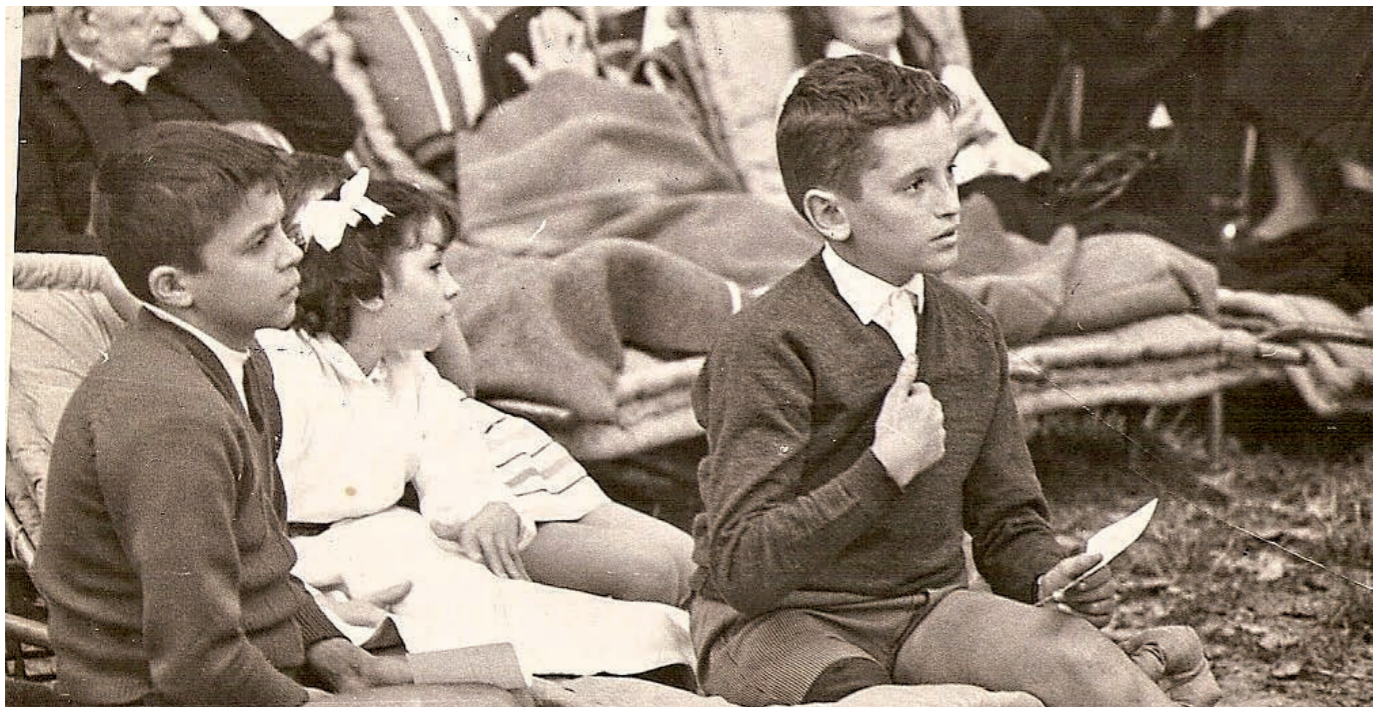
Ten nowy czas wymaga od nas niepoddawania się i znalezienia nowej energii miłości, która pozwoli przezwyciężyć wszelki nasz lęk. Życzę wszystkim zdrowia i tym większego przyłgnięcia do Chrystusa. Mam nadzieję, że koronawirus nie zablokuje prac w naszym głogowskim Domu i będziemy mogli kontynuować nasze turnusy rehabilitacyjno-rekolekcyjne, a także spotkania naszych diecezjalnych grup Centrum Ochotników Cierpienia.



Nasz Angiolino Czcigodnym Sługą Bożym

Ks. Luigi Garosio

10 lipca 2020 roku, podczas audiencji z kard. Angela Becciu, prefektem Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych, Ojciec Święty Franciszek przyjął i podpisał ważny dla nas dekret. Uznał w nim heroiczną cnotę naszego młodego brata od Cichych Pracowników Krzyża – Angiolina Bonetty.



Angiolino urodził się 18 września 1948 roku w Cigole we Włoszech, tam też zmarł 28 stycznia 1963 roku. Postać tego duchowego syna bł. Luigi Novarese jest znana dzięki pięknej biografii autorstwa ojca Dominika Mondrone SJ i ks. Mario Trebeschego, czuwającego nad świętością historyczną.

Co to oznacza, że Angiolino ma teraz tytuł „Czcigodnego”? Oznacza to, że prace procesu beatyfikacyjnego potwierdzają – na podstawie uzyskanych i sprawdzonych dokumentów, faktów i świadectw – heroiczną cnotę jego cnót, jego podobieństwo do Chrystusa. Materiał taki był najpierw gromadzony na poziomie procesu diecezjalnego.

Jest to dla nas wielki dar – życie Angiolina nabiera większego blasku, widzimy go jako przyjaciela i ucznia Jezusa, a dzięki temu – jako wzór dla nas. Jego życie, pełne cierpienia ofiarowywanego z miłością, jest dowodem witalnej mocy Zmartwychwstałego Pana. W dobrych zawodach zwyciężył, dobrą podjął walkę... I teraz czeka na koronę chwały. To dla nas wielka radość!

Tytuł Czcigodnego ośmiela nas, aby prosić o jego wstawiennictwo – on, który ukochał Pana aż do końca, z łatwością jest w stanie wyprosić dla nas wiele łask. Tam, gdzie się znajduje, blisko Wszechmocnego, może przybliżyć nam miłość Chrystusa i Madonny. Mały Angiolino ofiarował się całej Maryi, aby zrealizować Jej program ogłoszony w orędziach z Lourdes i Fatimy. Jego postać tym bardziej przypomina nam o ważności tej misji.

Prośmy z wiarą o jego wstawiennictwo! Naśladowmy jego cnoty! Sprawmy, aby wszyscy mogli go poznać. Bądźmy pewni, że od teraz jego zadaniem jest pomaganie nam w osiągnięciu pełnej radości, której on kosztuje już u boku Pana.

Modlitwa o beatyfikację Czcigodnego Sługi Bożego Angiolino Bonetta

Ojcze miłosierny, w Jezusie Chrystusie, narodzonym z Dziewicy Maryi, objawiłeś nam swoją miłość do najmniejszych i cierpiących.

Składamy Ci dzięki za cuda, które zdziałałeś w Angiolinie Bonetta. Ty go ukształtowałeś mocą swego Ducha i uczyniłeś go zdolnym do heroicznego naśladowania Chrystusa ukrzyżowanego.

Otocz chwałą swego wiernego przyjaciela i udziel nam łask, o które prosimy za jego pośrednictwem...

Spraw także, abyśmy i my stali się podobni do Chrystusa

i daj nam serce uważne i otwarte na cierpienia i biedę naszych braci, abyśmy głosili światu radość, która pochodzi od Ciebie.

Przez Chrystusa naszego Pana.
Amen.

Chwała Ojcu...

Sługo Boży Angiolino Bonetta, módl się za nami.

Brescia, 13.10.1998 r.
Imprimatur Virgilio Mario Olmi

Jeśli ktoś otrzyma łaski za wstawiennictwem sługi Bożego Angela Bonetti, proszony jest o kontakt ze wspólnotą Cichych Pracowników Krzyża, ul. bł. Luigi Novarese 2; 67-200 Głogów; e-mail: cpk@lg.onet.pl.

MODLITWA – papieskie katechezy

Papież Franciszek

MISTERIUM MODLITWY – wprowadzenie

Modlitwa jest oddechem wiary, jest jej najbardziej właściwym wyrazem. Jakby *wołaniem*, wychodzącym z serca tych, którzy wierzą i powierzają się Bogu.

Zaczynamy od historii Bartymeusza, niewidomego żebraka. Ów człowiek wkroczył do Ewangelii jako ktoś, kto woła na cały głos. Pewnego dnia usłyszał, że obok miał przechodzić Jezus. Nie wiedział, czy Jezus jest blisko czy daleko, ale gdy tłum się przybliżał, zaczął krzyczeć: „Jezusie, Synu Dawida, ulituj się nade mną!” (w. 47). To wyrażenie: „Syn Dawida”, jest bardzo ważne – oznacza wyznanie wiary w Mesjasza.

Jezus wysłuchał jego wołania. Kazał go wezwać i pozwolił, aby wyraził swoje pragnienie. Wtedy wołanie staje się prośbą: „żebym przejrzał!” (w. 51). A Jezus mówi mu: „*Idź, twoja wiara cię uzdrowiła*” (w. 52). Dostrzega w tym biednym, bezbronny, pogardzanym człowieku całą moc jego wiary, która przyciąga miłosierdzie i moc Boga. Wiara to dwie wzniesione ręce, głos wołający o dar zbawienia. Katechizm stwierdza, że „podstawą modlitwy jest pokora” (*Katechizm Kościoła Katolickiego*, 2559).

Wiara jest krzykiem; nie-wiara jest tłumieniem tego krzyku. Wiara jest protestem przeciwko żałostnemu stanowi, którego przyczyn nie rozumiemy; nie-

wiara jest poprzestawaniem na znoszeniu sytuacji, do której się dostosowaliśmy. Wiara jest nadzieją, że będziemy zbawieni, nie-wiara jest przyzwyczajeniem się do gnębiącego nas zła.

W sercu człowieka jest wciąż obecny głos błagający, silniejszy niż wszelkie argumenty przeciwne. Głos, który wypływa spontanicznie z refleksji nad sensem naszego pielgrzymowania tu na ziemi, zwłaszcza gdy znajdujemy się w mroku: „Jezu, zmiłuj się nade mną! Jezu, zmiłuj się nad nami wszystkimi!”.

Część 1. MODLITWA CHRZEŚCIJANINA

Drodzy bracia i siostry, kontynuując dzisiaj temat o modlitwie, pragnę podkreślić, że jest ona cechą wszystkich ludzi. Rodzi się w sercu każdego, przenika uczucia, intelekt i ciało. Jest impulsem wynikającym z Bożego objawienia, rodzącym potrzebę nawiązania relacji z Tym, który będąc Ojcem, nie chce wzbudzać w człowieku żadnego lęku. Dlatego chrześcijaństwo wykluczyło z rozumienia więzi z Bogiem wszelkie relacje „feudalne”. To nie jest „uległość”, „zniewolenie” czy „poddaństwo”, lecz więź, którą rodzi „przymierze”, „przyjaźń”, „komunia”. Pan Jezus mówi do uczniów: „Już was nie nazywam sługami, ale nazwałem was przyjaciółmi (por. J 15, 15-16). Modlitwa to rozmowa z Bogiem Ojcem o wszystkim, co dotyczy naszego życia. On zawsze nas kocha, nawet jeżeli Jego



Namiot adoracji w domu Cichych Pracowników Krzyża w Fatimie

miłość wobec nas prowadzi Go na Kalwarię. Możemy zadać Bogu pytanie: czy to możliwe, że Ty, Boże, znasz tylko miłość? Niech poszukiwanie odpowiedzi na to pytanie prowadzi nas do zdumienia, kontemplacji i pełni szczęścia w modlitewnych spotkaniach.

Część 2. MISTERIUM STWORZENIA

Drodzy bracia i siostry, kontynuujemy nasze katechezy o modlitwie, rozważając tajemnicę stworzenia. Życie człowieka, sam fakt, że istniejemy, otwiera ludzkie serca na modlitwę. Pierwsze strony Biblii przedstawiają Boga, który stwarza cały wszech-

świat, wieńcząc to dzieło powołaniem do życia człowieka. Piękno i tajemnica stworzenia rodzą w ludzkim sercu chęć do modlitwy. Modląc się, człowiek podziwia wokół siebie tajemnicę istnienia. Zastanawia się, jaki plan miłości kryje się za tak zadziwiającym dziełem! W tym bezgranicznym ogromie rzeczywistości, pyta się: czymże jest człowiek?

Jest on nieskończenie mały w porównaniu z wymiarami wszechświata, ale nie jest zerem. W modlitwie odkrywamy, że wielkością człowieka jest jego relacja z Bogiem. Z natury wydaje się, że jesteśmy prawie niczym, ale na mocy powołania jesteśmy dziećmi wielkiego Króla! Jeśli niekiedy wydarzenia naszego życia, z całą ich goryczą, grożą przytłumieniem w nas daru modlitwy, to wychodząc od wspaniałego opisu stworzenia,

próbujemy odnaleźć motywy do dziękczynienia i do chwalenia Boga za istnienie. Modlitwa jest pierwszą siłą nadziei. Kto się modli, zapewne doświadczy, że nadzieja jest silniejsza od zniechęcenia, a miłość jest potężniejsza od śmierci. Nasze życie jest darem Pana Boga, ale jest zbyt krótkie, by je przeżywać w smutku. Chwalmy więc, Pana Boga, dziękując Mu za dar życia, szczęście i dzieło stworzenia.

Część 3. MODLITWA SPRAWIEDLIWYCH

Drodzy bracia i siostry, dzisiejszą katechezę poświęcimy *modlitwie sprawiedliwych*. Księga Rodza-

ju ukazuje nam, że Bóg pragnie dobra całej ludzkości, każdego z nas. W codziennym życiu tak często jednak doświadczamy obecności zła. Przez grzech pierwszych ludzi Adama i Ewy rozprzestrzenia się ono w świecie, rodząc zazdrość, nienawiść, destrukcję. Ilustracją tego jest tragiczna historia Kaina i Abla, zakończona zabójstwem Abla, jak również prawo zemsty szerzące się wśród potomków Kaina w czasach Lameka. Obrazy potopu, wieży Babel wskazują na potrzebę nowego początku, który wypełni się w Chrystusie. Przeciwwagą zła, którego zamysłem jest doprowadzenie człowieka do odwrócenia się od Boga i katastrofy egzystencji, była i jest święta, pokorna i pełna nadziei modlitwa ludzi sprawiedliwych. Wśród wybranych przez Boga potomków Adama byli to: Abel, Set, Enosz, Henoch, Noe i inni. Poprzez pokolenia aż do dzisiaj wielu ludzi podobnie żyje w wielkiej zażyłości z Bogiem. Niech modlitwa tych sprawiedliwych będzie także naszym udziałem.

Część 4. MODLITWA ABRAHAMA

W życiu Abrahama nieoczekiwanie rozbrzmiewa głos Boga wzywający go do podjęcia drogi, do zerwania z korzeniami swej ojczyzny, korzeniami swej rodziny, by pójść ku nowej, innej przyszłości. Abraham słucha głosu Boga, ufa Jego słowu i wychodzi. Wraz z tym wyruszeniem rodzi się nowy sposób pojmowania relacji z Bogiem. Kiedy Bóg mówi, człowiek staje się adresatem tego Słowa, a jego życie miejscem, w którym pragnie się ono zrealizować. Życie wierzącego zaczyna być pojmowane jako powołanie, jako miejsce, w którym wypełnia się obietnica. Abraham żył modlitwą w nieustannej wierności temu Słowu, które pojawiał się na jego drodze. Bóg jest już postrzegany nie tylko w zjawiskach kosmicznych, jako Bóg daleki. Staje się „moim Bogiem”, Bogiem mojej osobistej historii, który prowadzi moje kroki, który mnie nie opuszcza; Bogiem moich dni, towarzyszem moich wydarzeń; Bogiem Opatrzności. Abraham staje się domownikiem Boga, może z nim dyskutować, ale zawsze jest wierny, aż po najwyższą próbę, kiedy Bóg żąda od niego, aby złożył w ofierze swego syna Izaaka. Tutaj Abraham przeżywa swoją wiarę jako dra-

mat, jak chodzenie po omacku w nocy, pod niebem tym razem bez gwiazd. Sam Bóg powstrzyma rękę Abrahama, już gotową do zadania ciosu, ponieważ zobaczył jego całkowitą dyspozycyjność (por. Rdz 22, 1-19). Uczmy się od Abrahama modlitwy z wiarą: słuchania, podążania, prowadzenia dialogu aż po dyskusję, ale zawsze w gotowości, by przyjąć Słowo Boże i wprowadzać je w życie.

Część 5. MODLITWA JAKUBA

Księga Rodzaju przedstawia nam historię patriarchy Jakuba, człowieka przebiegłego i na swój sposób podstępnego, który, zdaje się w swoim życiu odnosić tylko sukcesy. On – powiedzielibyśmy nowoczesnym językiem – jest człowiekiem, który „sam doszedł do wszystkiego”. Pewnego dnia Jakub, wracając do swojej dawnej ojczyzny, zatrzymał się nad potokiem Jabbok. W tym miejscu, gdy zapadł zmrok, nagle ktoś obcy go pochwycił i walczył z nim przez całą noc. W końcu Jakub został pokonany, ugodzony przez swego przeciwnika w nerw kulszowy i od tej chwili zostanie kaleką na całe życie. Ten tajemniczy zapaśnik dał mu nowe imię i swoje błogosławieństwo. W tej walce Jakub zdał sobie sprawę, że spotkał samego Boga „twarzą w twarz”.

Zmaganie z Bogiem jest metaforą modlitwy. Tej nocy ta długotrwała walka zmieniła Jakuba. Bóg objawił mu prawdę, że jest śmiertelny, kruchy i bezradny. To właśnie ten Jakub, kulejący i osłabiony, ale z nowym sercem, otrzymuje od Boga błogosławieństwo. Wcześniej był człowiekiem pewnym siebie i niedostępnym dla łaski. Ale Bóg ocalił to, co było zagubione. Wszyscy możemy przeżyć taką duchową noc, podczas której, walcząc z Nieznanym, doświadczymy własnej ułomności. W tym właśnie momencie Bóg da nam nowe imię i obdarzy nas swoim błogosławieństwem, zastrzeżonym dla tych, którzy pozwolili się Jemu przemienić.

Część 6. MODLITWA MOJŻESZA

Drodzy bracia i siostry, w dzisiejszej katechezie mówimy o modlitwie Mojżesza. Stając w obronie

uciśnionego ludu wybranego, jak pamiętamy, zabił Egipcjanina. W chwili, kiedy Bóg go powołuje, jest życiowym „bankrutem”. Przepadła jego kariera. Na pustyni Madian wypasa owce. Tam również doświadczy obecności Boga, który objawi się mu w płonąącym krzewie. Otrzymuje polecenie, by zatroszczył się o lud Izraela. W dialogu z Bogiem Mojżesz przedstawia swoje wątpliwości. Później pełen obaw będzie pytał Boga: dlaczego? Dlaczego mnie posłałeś? Dlaczego chcesz wyzwolić ten lud? Rozmawiając z Bogiem twarzą w twarz, wstawia się za ludem, usprawiedliwia jego postępowanie. Pełni rolę jakby „pomostu” między niebem a ziemią. W chwili, gdy lud uczyni sobie bożka ze złota, błaga o litość: „Przebacz im ten grzech! A jeśli nie, to wymaż mię natychmiast z Twojej księgi, którą napisałeś” (Wj 32, 32). Jego modlitwa to *wstawiennictwo*. Dzisiaj jest ona udziałem świętych, którzy naśladując Pana Jezusa, stają się „pomostami” między Bogiem a Jego ludem. Niech w naszej modlitwie nie zabraknie wstawiennictwa za światem i przekonania, że mimo jego zagubienia, zawsze należy on do Boga.

Część 7. MODLITWA DAWIDA

W naszym cyklu katechez o modlitwie spotykamy dziś króla Dawida. Jego historia zaczyna się na wzgórzach wokół Betlejem, gdzie pasł stado swego ojca, Jessego. Był *pasterzem*: człowiekiem, który opiekuje się zwierzętami, broni ich, gdy nadchodzi niebezpieczeństwo, zapewnia im utrzymanie. Kiedy Dawid, z woli Bożej, musi zatroszczyć się o lud, nie będzie podejmował działań znacznie różniących się od tych wspomnianych. Kiedy jednak prorok Nathan wypomniał mu jego bardzo ciężki grzech (por. 2 Sm 12, 1-15), Dawid natychmiast zrozumiał, że był złym pasterzem ludu, że ograbił innego człowieka z jedynej owcy, którą on miłował, że nie był już pokornym



sługą, ale człowiekiem chorym na władzę, kłusownikiem, który zabija i rabuje. Drugą cechą charakterystyczną Dawida jest jego *poetycka dusza*. Jest osobą wrażliwą, kochającą muzykę i śpiew. Świat ukazujący się jego oczom nie jest milczącą sceną: jego wzrok obejmuje większą tajemnicę, która kryje się za gmatwaniną rzeczy. Modlitwa rodzi się właśnie stąd: z przekonania, że życie jest zdumiewającą tajemnicą, która rozbudza w nas wdzięczność, uwielbienie, czy też lamentację i błaganie. Święty i grzesznik, prześladowany i prześladowca, ofiara i oprawca. Dawid był tym wszystkim. W jego życiu jest tylko jedna nić przewodnia, nadająca jedność wszystkiemu: jego modlitwa. Ten głos nigdy nie gaśnie. Jest to zawsze ta sama modlitwa, niezależnie od tego, czy przybiera ona ton radości, czy też skargi, zmienia się tylko melodia. Czyniąc w ten sposób Dawid uczy nas, aby wszystko wchodziło w dialog z Bogiem: zarówno radość jak i wina, miłość jak i cierpienie, przyjaźń a także choroba. Wszystko może stać się słowem skierowanym do Boga, który zawsze nas słucha. Dawid, który zaznał samotności, w istocie nigdy nie był sam! I w gruncie rzeczy to właśnie jest moc modlitwy: może ona zapewnić relację z Bogiem, który jest prawdziwym towarzyszem drogi człowieka pośród tysięcy życiowych trudności.

Mamy nowych kapłanów

Alessandro Mauro

„Kapłan jest człowiekiem współczucia, mostem pomiędzy Bogiem a światem”. Tym cytatem z papieża Benedykta XVI Arcybiskup Vercelli Marco Arnolfo rozpoczął święcenia dwóch prezbiterów ze wspólnoty Cichych Pracowników Krzyża. Było to w poniedziałek 29 czerwca, podczas uroczystości odbywającej się w katedrze św. Euzebiusza w Vercelli. Abp Arnolfo nałożył swe ręce na Marcelina Am-Agboudiguida Akonsenę (ur. 1986) i Michała Kossi Mawuegnę Fayosseha (ur. 1982). Obaj pochodzą z Togo, ze środkowo-wschodniej Afryki. „Nie ma chyba lepszej okazji do konsekrowania tych dwóch synów duchowych bł. Luigiego Novarese niż rok, w którym Cisi świętują 50-lecie swojej obecności w naszym kościele – powiedział arcybiskup.

W liturgii sprawowanej w świątyni mogło uczestniczyć niewiele osób – z powodu obostrzeń sanitarnych wprowadzonych ze względu na koronawirus. Cała uroczystość była jednak na bieżąco nagrywana i dzięki połączeniu internetowemu święcenia mogła

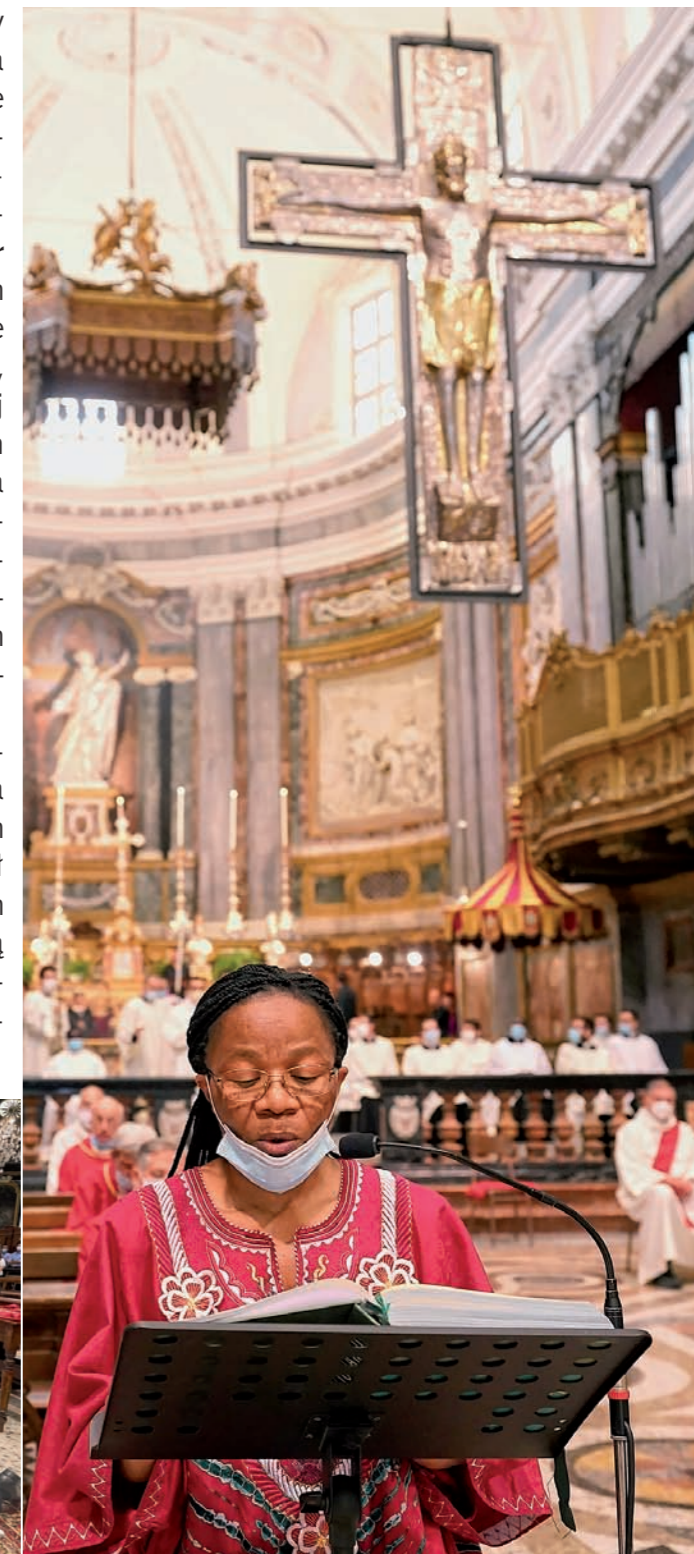
śledzić ogromna liczba wiernych, także tych z bardzo daleka. Przyjaciele, krewni, bracia w kapłaństwie, ze wspólnoty – wszyscy łączyli się online i mogli zobaczyć ten tak znaczący moment w życiu Marcelina i Michała.

„Misterium miłości Bożej nie jest jedynie darem życia dla nas – mówił abp Arnolfo – ale i darem życia do przekazania innym. Kapłan jest pośrednikiem między człowiekiem a Bogiem. Pamiętajcie więc, aby trwać zawsze w Bogu i w tym samym czasie być blisko ludzi. Wasz Ojciec Założyciel, bł. Luigi Novarese, doskonale umiał wcielać tego ducha. Przeżywał w sobie chorobę, jednocześnie konfrontując się z pytaniami, jakie stawiało mu to cierpienie. Na początku zdecydował, aby zostać lekarzem, by leczyć swych bliźnich, ale potem zdał sobie sprawę, że lepiej pomoże ludziom jako kapłan. Zrozumiał, że leczenie serca jest tak samo istotne, co leczenie ciała, a często o wiele ważniejsze”.



Eksplzja emocji nastąpiła w momencie, gdy arcybiskup kładł ręce na Marcelina, a potem na Michała, którzy następnie ubierali stroje kapłańskie przy pomocy ks. Luigiego Garosio i ks. Marka Castellazzi. Po włożeniu strojów obecni w kościele wierni spontanicznie wręcz zaczęli bić brawo. „Przyjmuję ten przywilej bycia kapłanem jako wielki dar i jako wielkie wyzwanie. Podążając za nauczaniem naszego Ojca Założyciela, chcemy, aby ten dar stale służył innym, w szczególności osobom cierpiącym, powiedział Marcelin. Michał zaś dodał: „Dzisiaj moja radość jest nie do wyrażenia. Zostać kapłanem w Święto Apostołów Piotra i Pawła – to czyni dla mnie ten dzień jeszcze bardziej ważnym. Chcę wędrować przez ulice tego świata w duchu bł. Novaresego. Dobry kapłan powinien być pełen współczucia, powinien cierpieć razem z innymi. Składam podziękowania całej wspólnotie Cichych Pracowników Krzyża, która nas wspierała i prowadziła.

Po zakończonej uroczystości neoprezbiterzy przeszli do sanktuarium Trompone, tak ważnego dla wspólnoty Cichych Pracowników Krzyża. To tam odbyło się przyjęcie zorganizowane dla przyjaciół i krewnych (oczywiście w granicach wytyczonych przez obostrzenia sanitarne). Część rekreacyjną zapewnili bracia i siostry Afrykańczycy – były tamtejsze tańce oraz muzyka grana na typowych afrykańskich instrumentach.





Przemówił też ks. Janusz Malski, jako moderator generalny wspólnoty: „7 października minie 50 lat naszej obecności w diecezji Vercelli. Wszystko to dzięki odwadze prałata Novaresego i siostry Elwiry, którzy powołali do życia nasz charyzmat. Charyzmat ten ma dwa skrzydła: troskę o człowieka i dowartościowanie cierpienia. Dzisiaj, poprzez święcenia tych dwóch braci Cichych Pracowników Krzyża pochodzących z Togo, włączamy się w ideę konsekracji, pod którą Novarese położył fundamenty i spełniamy jego marzenie o kapłanach z Afryki”.



Mój film o „KOTWICY”

Paulina Nowak



Skąd pomysł na film?

Pismo poznałam w trakcie odbywania obowiązkowych praktyk zawodowych w redakcji „Kotwicy”. Zapoznałam się wtedy z jego tematyką, która przedstawia świadectwa ludzi niepełnosprawnych i cierpiących, a także miałam okazję zobaczyć, jak wygląda praca nad kolejnym wydaniem „Kotwicy”. Byłam pod wrażeniem atmosfery panującej w redakcji. Pomimo że pisanie artykułów odbywa się zdalnie – to twórcy i czytelnicy tworzą wspaniały zespół, który

wykazuje się pełnym profesjonalizmem i zaangażowaniem. Te wszystkie czynniki zainspirowały mnie do nakręcenia materiału filmowego, który zarazem stał się moją pracą licencjacką.

Czego nauczył Panią ten projekt?

Podczas realizacji projektu wiele się nauczyłam. Zaczynając od tego, że zaczęłam bardziej wierzyć we własne siły. Wiadomym jest, że jak rozpoczynałam pracę nad filmem, stres był ogromny. Pomyśla-

łam wtedy, że tematyka pism katolickich nie jest prostym zadaniem, ale na szczęście zawsze mogłam liczyć na pomoc ze strony promotora – pani dr Sławomiry Lisewskiej, która w najgorszych momentach podtrzymywała mnie na duchu i motywowała do dalszego działania. Także bardzo serdecznie dziękuję za nieocenioną pomoc pani dr Izabeli Rutkowskiej, dzięki której miałam dostęp do materiałów oraz ułatwiony kontakt z twórcami i czytelnikami pisma. Istotną kwestią podczas realizacji filmu jest także montaż, który nie należał do najprostszyc. Z mojej perspektywy mogę powiedzieć, że praca nad materiałem wykształciła we mnie zdolność selekcji nagrań, była to również wspaniała lekcja montażu i sprawdzenia własnych umiejętności.

Jaki cel przyświecał Pani w robieniu tego filmu?

W swoim materiale chciałam pokazać, że pisma katolickie nie są tylko i wyłącznie przeznaczone dla osób starszych. Artykuły, które są pisane dla „Kotwicy”, obrazują, że jest w życiu taki moment, że potrzebujemy podzielić się z kimś swoimi doświadczeniami lub zwyczajnie chcemy przeczytać o życiu innych ludzi, ponieważ może dać to nam siłę do pokonywania własnych problemów. Myślę, że mój materiał może zainteresować stałych czytelników czasopisma, ponieważ w filmie przedstawione są początki pisma, aż po czasy obecne, to idealnie pokazuje, jak przez lata ewaluowała gazeta.

Co było najtrudniejsze, a co najciekawsze?

Jeżeli chodzi o cały proces tworzenia filmu – to najtrudniejszym momentem było złożenie wszystkiego w całość. Wymagało to skupienia, precyzji i oczywiście czasu – mojego i pani promotora. Razem z panią dr Lisewską oglądałyśmy nagrania, wybierałyśmy najistotniejsze fragmenty. Następnie montowałam wybrane części i wysyłałam do niej do sprawdzenia, a pani doktor odsyłała mi propozycje, jak mógłby wyglądać film, nad którym pracuję, nad czym powinnam jeszcze popracować lub się zasta-



Paulina Nowak w redakcji „Kotwicy”, fot. Izabela Rutkowska

nowić. Takie wskazówki bardzo mi pomogły w uświadomieniu sobie, co bym tak naprawdę chciała pokazać w swojej pracy.

Najciekawszą rzeczą w czasie realizacji materiału było nabieranie doświadczenia, poznawanie nowych ludzi. Praca nad filmem była wspaniałą przygodą, która zapadła mi głęboko w pamięć. Jedynie, co mogę powiedzieć na koniec – bardzo się cieszę, że miałam możliwość stworzenia swojej pracy dyplomowej na temat „Kotwicy”. Dzięki temu dużo się nauczyłam i poznałam cudowną historię miejsca, które daje dużo radości wielu ludziom.

Moje spotkanie z Maryją

Mieczysław Guzewicz

Opisując krótko początek mojej miłości do Maryi, nie zacznę o treści mocno kontrastujących z moim obecnym stanem ducha. Nigdy nie byłem człowiekiem niewierzącym, nie odszedłem od wiary, nie doznałem jakiegoś znaczącego upadku moralnego. W dzieciństwie przez kilka lat byłem ministrantem, w młodości przez wiele lat lektorem w parafii. Owszem, jakieś małe upadki wynikające z chęci odczucia nowych doznań, nie ominęły moich młodościowych lat. Jednak wiara rodziców, babci Heleny, krewnych, którzy jako repatrianci z kresów wschodnich, zawsze przywozili ze sobą święte obrazy, była naturalnym klimatem wchodzenia w dorosłość.

Bardzo wcześnie, bo mając 22 lata, ze szczerą i czystą miłości, zawarliśmy małżeństwo, po roku staliśmy się rodzicami naszej pierwszej córki. Właśnie w tym okresie, pełniąc posługę lektora, otrzymałem propozycję od naszego proboszcza, abym na weekend pojechał do Rokitna. Nie wiedziałem na jakie rekolekcje jadę. Na miejscu okazało się, że był to ORAR (jedna z części formacji Domowego Kościoła). Dzięki temu bardzo szybko weszliśmy z żoną do tej wspólnoty i rozpoczęliśmy formację. Jednak pobyt w Rokitnie stał się dla mnie przełomem w pewnej części doświadczeń duchowych. To jednak było dla mnie najważniejsze.

W czasie drugiego wieczoru uczestnicy rekolekcji zebrali się w prezbiterium kościoła, tuż przy ołtarzu. Z bardzo bliskiej odległości mogłem przyjrzeć się małemu wizerunkowi Pani Cierpliwie Słuchającej. W pewnym momencie przestało być dla mnie ważne, że odmawiana jest jakaś modlitwa, (chyba Różaniec).

Nie mogłem oderwać wzroku od twarzy Maryi. Wyraźnie widziałem piękno Jej rysów. Nie było to doznanie o jakiejś głębi duchowej. Mnie po prostu urzekło Jej piękno. Zakochałem się w Tej Dziewczynie. Na następny dzień kupiłem sobie obrazek i łańcuszkowy różaniec. Obie te pamiątki mam do dziś.

Do tego momentu, mimo, że w naszym domu i w mieszkaniach wszystkich naszych krewnych było obrazy Maryjne, kult Maryi nie był dla mnie ważny. Swoją duchowość budowałem głównie na Biblii i na liturgii mszy. Od tamtej chwili,

z miłości do Maryi, zacząłem odmawiać modlitwę różańcową, uczestniczyć w nabożeństwach majowych i październikowych. Nie umknęło to uwadze żony, która wcześniej namawiała mnie do udziału w tych nabożeństwach, a ja się mocno opierałem.

Moja miłość do Maryi, moje zakochanie się w Niej ciągle trwa. Wiem, że żona nie jest o to zazdrosna. W naszym życiu małżeńskim i rodzinnym Najświętsza Pani jest kimś bardzo ważnym.



DROGA UFNOŚCI w okowach choroby nowotworowej

S. Noela Zaniewicz

Szlachetne zdrowie! – nikt, kto nie zachorował poważnie, nie wie, jak cenny SKARB nosi w sobie. Jak wielkim darem jest zdrowie i radość życia. Życia, w którym jakże łatwo i beztrudno można powiedzieć: szczęśliwi czasu nie liczą... Taka radość odczucia pełni i sensu życia towarzyszyła mi przez dziecięce i młodzieńcze lata w domu rodzinnym, gdzie wzrastałam w duchu miłości i wiary w Boga. Powołanie zakonne, tak czytelne w moim sercu, wydawało się duchową trampoliną do nieba. Odczuwany ogrom Bożego dobra pragnęłam pomnażać na chwałę Pana każdego dnia. Tak Opatrzność Boża prowadziła mnie w czynnej służbie Jezusowi ponad 20 lat.

Z czasem zaczęły się moje problemy gastryczne. Potem pojawiły się guzy w języku, które trzeba było chirurgicznie usunąć. Był to maj 2017 roku. *Jest radość. Nic nowotworowego. Na jesieni będą mi usuwać kolejne zmiany laserem, bo teraz język musi się wygoić po tamtym zabiegu. Dziękuję za modlitwę* – informowałam rodzinę i przyjaciół, szczęśliwa po otrzymaniu wyniku histopatologicznego.

Jednak coraz dotkliwsze słabnięcie sił i odczucie coraz większych dysfunkcji organizmu, zaczęły stwarzać coraz większe problemy. Coraz bardziej stawało się niemożliwe wykonywanie wszystkiego tak szybko, jak tego pragnęłam, jak potrafiłam wcześniej.

Strach ma wielkie oczy. W dodatku strach uzasadniony, gdyż w mojej buzi zaczął rozwijać się coraz dotkliwszy proces rozrostowy. Wkrótce okazało się, że to najbardziej złośliwy nowotwór i trzeba wykonać bardzo inwazyjną operację mojej buzi. Przyszły

nieprzespane noce i lęk przed coraz dokuczliwszym bólem. Z różańcem w ręku rwały mi się wątki modlitwy. Rozpaczliwie pytałam Boga: dlaczego ja? dlaczego? Poczułam się jak skazaniec.

Kontemplowałam z drżeniem serca moje młode życie z jego meandrami. Oczami wiary jeszcze gorliwiej zaczęłam szukać mocy modlitwy, odkrywać sens bycia osobą Chrystusową.

Progi szpitala onkologicznego przekraczałam na nogach jak z waty. Wkrótce przekonałam się, że ze znamięm tej trudnej choroby jest tu wiele osób w różnym wieku i różnym stadium choroby. Choroby trudnej jak trąd, ale na szczęście nie zakaźnej. Wzruszyła mnie empatyczna postawa lekarzy nieukrywających przede mną trudności tego schorzenia. Profesor mający mnie operować dobrym i wrażliwym sercem wlewał w moje zrozpaczone serce NADZIEJĘ...

Usunięcie części języka w grudniu 2018 r. nie przyniosło radykalnej poprawy. Powstało podejrzenie o zmiany nowotworowe w szerszym zakresie.

10 stycznia 2019 r. informowałam znajomych: *Jest źle. Guz rośnie i 21 stycznia idę do szpitala, bo będą mi usuwać język, żuchwę, podniebienie i węzły chłonne. Jak się uda, to będą później robić rekonstrukcję. Następnie chemia i radioterapia. Bardzo długi proces leczenia. Boję się strasznie. Proszę o modlitwę.*

Moje 44. urodziny, przypadające 2 lutego, w Święto Osób Konsekrowanych, przeżywałam w szpitalu, już po operacji. Uczylałam się funkcjonować z odżywianiem pozajelitowym. Tłumaczyłam



Siostra Noela odeszła do domu Pana 6 stycznia 2020 r. Jej świadectwa otrzymaliśmy dzięki pani Sabinie Borsuk, jej zaufanej „sekretnicy”.

sobie i innym: nie martw się tylko ufaj! Módl się i ufaj!

Coraz bardziej zaczęłam uświadamiać sobie, że nadzieja i ufność to niezwykle ważne atuty, by zdrowieć, by cieszyć się każdym kolejnym dniem życia; by tak wiele ogołocenia nie zabiło w sercu chęci życia. Niejeden raz po policzkach płynęły tzy spowodowane cierpieniem. Płynęły też dziękczynnie, gdy dolegliwość bólowa zmniejszała się.

Szwy goiły się, a w serce wstępowała radość, że idzie ku nowemu życiu. Światło i moc płynęły w moim sercu podczas kontemplacji Krzyża Chrystusa oczami duszy pełnymi wiary. Otuchą były moje coraz głębsze uczucia: teraz tylko liczy się moje zdrowienie w dłoniach Jezusa, moja zraniona operacją pierś przy Jego także zranionej. Tyle miłości posyła mi przez ludzi. I to jest ważne na dziś. Kiedyś wróci piękne, uwielbione ciało. Moje bliźni to moja obrączka. On też taką nosił. Cieszyłam się, że mam tylu przyjaciół w chorobie.

Bolesną radioterapię znosiłam najdzielniej jak potrafiłam. Każdy seans łączyłam z jakąś intencją, by cierpienie dawało jakieś uzdrowienia. Czwarty stopień poparzenia był dotkliwy w konsekwencjach, ale ja pragnieniem ozdrowienia byłam gotowa przejść te trudne dni...

Jezus umacnia mnie swoją Miłością i taską, podtrzymuje nadzieję i w bólu Golgoty ukazuje blask zbawczego Zmartwychwstania – pisałam do bliskich mi osób na kilka dni przed Świętami Wielkiej Nocy w szpitalnym łóżku. Następnego dnia pisałam: *Dziś wymiotowałam całą noc i do południa, teraz podłączono mi kroplówki przeciwwymiotne. Jestem słaba, ale się nie poddaję.*

W Wielki Piątek jak co roku obejrzałam w tablicie „Pasję”. W życzeniach świątecznych pisałam w smsach: *Wkrótce Zmartwychwstanie – fakt, który można „zobaczyć” jedynie oczami wiary. Tylko noc będzie Mu świadkiem. Dla nas – jest jak zagadka, która pęta rozum. Skoro „po części tylko poznajemy”, życzę światła Bożej taski – i ludzkiej wiary. Niech się w nas spotkają. Pełnych pokoju i radości tych niezwykłych dni* życzę.

30 kwietnia napisałam: *Tyle cierpienia z modlitwą ofiaruję... Mówią, że jestem dzielniejsza niż Hiob.*

I to też chyba znak taski, a na pewno mojej wiary... Ufam, że moją sprawę Bóg prowadzi... z siostrzaną miłością i uśmiechem... dziękuję za SERCE.

Doczekałam się ukochanego maja z radością w sercu: jaki Bóg jest dobry! I w natchnieniu radości napisałam:

Odarty z marzeń
Pod niebem odartym
Z błękitu
Wlecze się
Człowiek zwany
Kosmitą.

Jakże nie pasuje
Do szuflad tego
Świata
Czuje zbyt mocno
To cecha wariata

Oczy mu zamydlą
Zakneblują usta
Potem zaprowadzą
Tam gdzie krzywe
Lustra

Nawet gdy
Pozbawią go wolności
Będzie strzegł
Wiary swej stałości

Pod niebem odartym z błękitu
Zmiażdżony obojętnością
Wbrew swoim oprawcom
Oddychał będzie miłością
!+++!

Smagana bólem poparzeń, a dodatkowo brzucha, gdy jelita przestały pracować, a płytka pega wrosła w śluzówkę żołądka – w bezsenne noce zatapiałam się w modlitwie i było mi lżej duchowo. Leżąc pod kroplówkami i nad miską, gdy mnie nudziło, pozdraśniałam radośnie i stonecznie kolejny dzień. Ufając, że moją sprawę Bóg prowadzi.

27.06.2019 r. coraz bardziej odczuwając Bożą wartość skarbu, jaki Pan dał nam w darze nieśmiertelnej duszy, napisałam rano: *W ruinie mojego zdrowia jest ZRUJNOWANY PAN. Jak bardzo moje ciało przypomina Jego z męki. Ale to wszystko skończyło się zmartwychwstaniem i nowym, uwielbionym ciałem. Mnie Jezus też takie przygotował. A potem wieczorem: *Niespokojne jest serce człowieka dopóki nie spocznie w Bogu; Ale też niespokojne jest serce Boga dopóki nie spocznie w człowieku.**

Najboleśniejszą od czasu operacji i uszkodzenia przełyku stała się niemożność przyjmowania Chrystusa Eucharystycznego. Drugiego sierpnia, w Pierwszy Piątek Miesiąca przyjął Krew Pańską przez pega – ksiądz biskup udzielił pozwolenia. Mój brat ks. Mariusz odprawił Mszę św. w domu. To był najszczęśliwszy dzień od sześciu miesięcy.

Pod koniec lata zaczęłam odczuwać wznówę choroby. 10 września w Krynicy Górskiej pisałam: *Na każdego przychodzi „noc”... Światłem wtedy nasz Pan w Ogrójcu. Zaczynam odczuwać częściej zmęczenie.*

25-lecie mojego życia zakonnego przeżywałam w domu rodzinnym, gdyż tu byłam na urlopie zdrowotnym. Z Trójcą Przenajświętszą w duszy, w Monstrancji tak okaleczonego chorobą obolałego ciała czułam nieziemską radość z domieszką goryczy i ludzkiego lęku z powodu kolejnej planowanej operacji mojej buzi. Czułam się jak na ołtarzu mojej Golgoty, gdy brat odprawił Mszę św. Dziękuję bardzo dobremu Bogu za dar mojego brata kapłana i radość uczestniczenia we Mszach świętych w domu rodzinnym.

Z lękiem i nadzieją przeżyłam drugą operację twarzy – 1 października. Z pełnią zawierzenia Panu

Jezusowi prosiłam o orędownictwo św. Teresę od Dzieciątka Jezus i Najświętszego Oblicza – młodzieńką doktor Małej Drogi. Odczucie Dzieciństwa Bożego każdego kolejnego dnia daje mi wytrwałość i cierpliwość, by w kolejnych dniach upokorzenia i udręczenia trudnymi fizycznymi objawami choroby wytrwać przy Bogu i w Jego mocy. By nie zważać z żalu, że w kolejnej operacji, tak okaleczającej moją twarz, nie wszystkie zmiany operacyjne udało się usunąć. Bardzo trudne dni pooperacyjne, pełne rzutów gorączki, zaflegmienia i duszności, totalnej bezsilności – istny tygiel cierpienia..., by radością dziecka cieszyć się chwilami poprawy samopoczucia.

Z nadzieją pełną determinacji wyraziłam zgodę na chemioterapię. Wręcz na krawędzi fizycznych możliwości, bo tak moje serce odczuwa bycie „wojowniczką Bożą”..., ze świadomością, że życie jest wielkim Bożym darem. By Chrystus widział, że każdego dnia czekam na spotkanie z Nim.

Mój Adwent po pierwszej porcji ostrej chemii spędzam w domu rodzinnym. W wielkiej fizycznej bezsilności. W opiece siostry Moniki i mamusi modlącej się przy moim łóżku. Brat Mariusz przyjeżdża każdego dnia, w przerwie własnych kapłańskich obowiązków, by odprawić Mszę św., bym mogła przyjmować KREW PAŃSKĄ.

Imię moje NOELA – znaczy Boże Narodzenie. W tak wymownie trudnej sytuacji mojego zdrowia, przykuta bezsilnością do łóżka pragnę, byś przyszło Dzieciątko Boże do stajenki mojego serca. W takiej aranżacji Opatrzność Boża zgotuje moje Imieniny i Twoje Urodziny. Ciepłutko Cię przytulę z miłością wieczną. Stajenkę taką w moim sercu da Ci Bóg i mój CZAS tylko dla Ciebie...



Czas doświadczeń Tylko Bóg jest niezmienny

br. Roman Płatek SOdC

Ostatnie miesiące przynoszą tak wiele niezwykłych doświadczeń. Pandemia, słowo dotąd tak mi odległe, nagle stało się realne i zrozumiałe. Z nim przyszedł niepokój, zmieniło się prawie wszystko wokół, kwarantanna, izolacja, maski na twarzach. Proste dotąd i oczywiste rzeczy stały się czymś zabronionym – pójście na spacer, spotkanie ze znajomymi, a co dla mnie najtrudniejsze (i to właśnie w czasie przygotowań do świąt Zmartwychwstania Pańskiego) – bycie w kościele i uczestnictwo w nabożeństwach w Triduum Paschalnym. Jakże to nie tylko dziwne, ale i bolesne – jak byśmy uczestniczyli naprawdę w tamtym wydarzeniu sprzed dwóch tysięcy lat.

Miasto było puste, ludzie przemykali opłotkami, unikając siebie nawzajem, wszystko zamarło, zamknięto sklepy, obiekty publiczne, kościoły – wszystko się nagle zmieniło, nikt nic nie wiedział i niczego nie był pewny – a ja jednego tylko, że Bóg jest i być będzie. Ta pewność dawała mi siłę i pokój w sercu i duszy, by zachować jasność umysłu, mimo tego, że media przekazywały coraz gorsze wiadomości. Wzrastała z każdym dniem liczba zakażonych, ludzie zaczęli umierać. Wirus rozprzestrzenił się po całym świecie.

Doceniłem istnienie mediów: telewizję, radio, internet. Po raz pierwszy uczestniczyłem w liturgii

w ten sposób (uczestniczyłem, a nie tylko oglądałem). Przyjęcie w sposób duchowy Jezusa w komunii nabrało jakby innego wymiaru. On stał się jeszcze bardziej upragniony i bliski sercu. Niemożność spotykania się ze wspólnotą parafialną, ba! – nawet z rodziną... Jakże to trudne, brakowało tej zwykłej bliskości, dlatego jeszcze bardziej przybliżyłem do Jezusa – On Jest Niezmienny!

To był czas, gdy można było rozmawiać przez komunikatory, portale społecznościowe, internet i tam ludzie naprawdę się wspierali słowem, obrazem i modlitwą. A najpiękniejsze jest to, że był to też czas, by zastanowić się nad znikomością tego świata i faktem, że wieczny i niezmienny jest tylko Bóg i że to jest najważniejsze. Jakże często można było wtedy sięgać po Pismo Święte, po różaniec, tym bardziej, że było znacznie więcej intencji, pilnej potrzeby modlitwy – nie ze strachu, ale ze współczucia i potrzeby nadziei. Tylko Wiara, Nadzieja, Miłość – to nigdy się nie zmienia, niezależnie od tego, co będzie się dziać. To pozwala nie lękać się wirusa, zgadzając się z wolą Bożą bo szczęśliwi, którzy ufność pokładają w Panu.

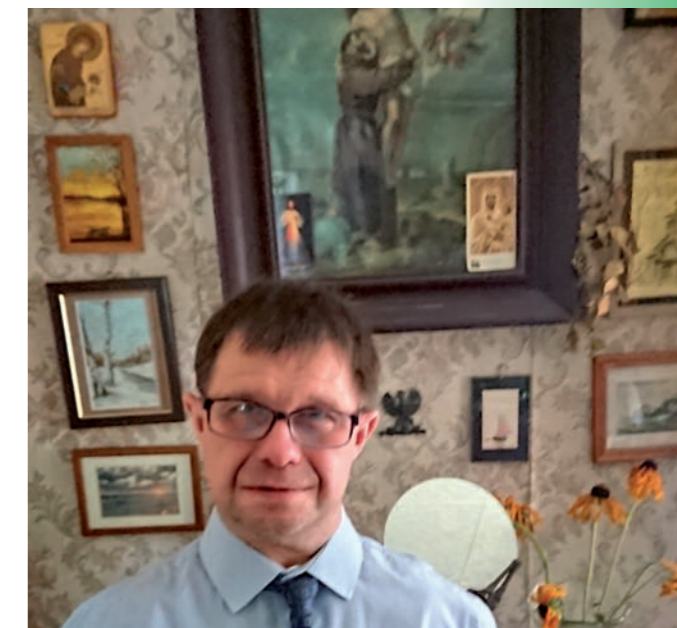
Wiem, że wielu z nas bało się i boi nadal o swój los, ale czyż nie warto złożyć tego Panu? Oby można było nadal bez problemu chodzić na mszę do kościo-

ła, spowiadać się, przyjmować Najświętszy Sakrament. Poluzowano już ograniczenia, jest większa możliwość uczestnictwa w nabożeństwach i w liturgii, ale tak myślę, że ten okres był jak 40 dni na pustyni, czyli w odosobnieniu. Może był to dla ludzkości czas walki duchowej o uratowanie sumień? Jaki będzie świat po pandemii...?

Już po części wrócił czas serdecznych uścisków i wspólnych spotkań, zakupów w galeriach, spacerów po parkach. Niech trwa jak najdłużej, proszę o to Boga. Może za jakiś zdejmemy maski na dobre.

Wciąż jest zagrożenie, wciąż jest niepewność, jak to się skończy... Nigdy tak naprawdę nie doceniamy tego, co mamy, póki nas tego nie pozbawią. Choćby przez czasowe zakazy ograniczenia. Wszystko było takie oczywiste, normalne – praktyki religijne, udział w zgromadzeniach, w koncertach, zawodach sportowych, opalanie się na plaży, kąpanie w basenach i kąpieliskach, podróże. Aż tu nagle... jest się tych oczywistych normalności pozbawionym. W to miejsce wchodzi lęk

o przyszłość – moją, Twoją, świata. I przeświadczenie, że nic nie jest pewne, nic nie jest wieczne – jedynie Bóg Wszechmogący i nasza w Nim nadzieja.



Nie lękam się i śpiewam chwały pieśń

br. Jonasz Fąs SOdC

„Nie, nie lękam się i śpiewam chwały Pieśń”, tak brzmi jedna ze zwrotek współczesnej piosenki na okres wielkanocny. Dziś chcę trochę opisać to, co przeżywam w ostatnim czasie, nie tylko to, co związane z pandemią COVID 19, ale i to, co wydarzyło się w moim życiu.

Dla mnie i moich najbliższych (brata i siostry) dziwny czas zaczął już w końcu listopada 2019 roku. Wtedy dowiedzieliśmy się, że nasza kochana mama ma nieoperacyjną formę raka dróg żółciowych – mama w przebiegu dwóch tygodni od diagnozy „wróciła do Domu Ojca”, nie doczekawszy



Od lewej: brat Jonasz i brat Roman

z perspektywy ziemskiej mojego oddania się Chrystusowi przez ręce Maryi we wspólnocie Cichych Pracowników Krzyża. Jednak jestem pewny, że moi śp. Rodzice widzieli mnie z okna Domu Ojca i mi błogosławili 8.12.2019 roku (parafrazując Benedykta XVI). Był to trudny koniec roku, wiarę w zmartwychwstanie przecinał ból rozstania, doświadczany w tak bardzo rodzinne święta Narodzin Zbawiciela, pierwszy raz obchodzone bez mamy i po raz czwarty bez taty. W tym bólu nie pozostaliśmy sami – moi współbracia (ks. Janusz, ks. Stanisław, br. Romek i nasz kapelan ks. Radek) oraz wszystkie współsiostry mieszkające w Polsce wspierali nas bardzo.

W lutym 2020 roku nadeszła nieoczekiwanie wiadomość o śmierci pana Zbyszka (taty ks. Radka), więc udałem się na pogrzeb. Po tym pogrzebie zatrzymałem się w naszym domu na dwa tygodnie. Wtedy zaczęły do mnie dopiero docierać informacje o koronawirusie. Obecnie mieszkam u Doroty, tj. mojej siostry, bardzo rzadko oglądamy programy informacyjne. Pamiętam przerażenie w oczach osób odwiedzających nasz dom, przychodzących na rehabilitację, gdy w Zielonej Górze wykryto pierwszy przypadek COVID 19. Wtedy sam zacząłem drążyć temat.

Blady strach padł na mnie, jak s. Małgorzata oznajmiła nam, że we Włoszech około środy popielcowej mają być pozamykane wszystkie kościoły, ale sobie pomyślałem: nie może tak być w Polsce.

W pierwszy piątek marca wróciłem do domu Doroty. Tu doszła do mnie wiadomość, że jednak się myliłem – postanowiono bowiem, iż na Mszy św. lub innym nabożeństwie może być jednocześnie maksymalnie pięć osób. Biskup mojej rodzimej diecezji (bp Edward) postanowił o zamknięciu na czas nieokreślony kościołów i kaplic dla wiernych na terenie diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej. Początkowo byłem bardzo oburzony tym faktem, jednak z nieoczekiwaną pomocą przyszedł ks. Janusz, który w kilku zdaniach opisał sytuację w Włoszech. Do tego w niedzielę palmową szwagier wraz ze starszym siostrzeńcem musieli pilnie wrócić do Niemiec, gdzie pracują. Gdy wrócili, dla nas rozpoczęła się dwutygodniowa kwarantanna.



„Te święta – inne – z jednej strony bolesne, bo nie można iść na nabożeństwa i Rezurekcję, z drugiej jakże bogate, bo w tym corocznym pędzie między pisankami gdzieś gubiła się głębia duchowa tych szczególnych dni w roku” – podzieliła się ze mną moja kuzynka. Niestety, to prawda, że w pędzie życia zapominamy o Tym, Który jest Najważniejszy.

W niedzielę wielkanocną rozbrzmiało w naszych kościołach wołanie: „Wiemy, żeś zmartwychwstał, że ten cud prawdziwy. O, Królu Zwycięzco, bądź nam miłościwy”. Pamiętajmy, że to Jezus jest wodzem życia i nie poddawajmy się zwątpieniu.

NASZA PRZYSTAŃ

Nowa rzeczywistość na Warsztatach

Pierwszy tydzień w nowej rzeczywistości już za nami. Po powrocie części z nas na zajęcia musieliśmy zmierzyć się z nowymi zasadami, które nas obowiązują. Zajęcia wyglądają nieco inaczej, pracujemy w mniejszych grupach, z zachowaniem wszystkich niezbędnych środków bezpieczeństwa. W ciągu pierwszych tygodni udało nam się zrobić wiele rzeczy. Za priorytet postawiliśmy sobie pracę nad pakietami dla naszych Koleżanek i Kolegów, którzy jeszcze nie zdecydowali się, aby powrócić na

zajęcia. Podczas zajęć wykonujemy wiele prac, między innymi wycinaliśmy elementy aniołka, stworzyliśmy quiz z różnymi zagadkami i zadaniami do wykonania, szyliśmy częściowo bransoletki i wybieraliśmy przepis na pyszne ciasto z rabarbarem.

Gdy tylko uporaliśmy się z pakietami, nadszedł czas na pracę na świeżym powietrzu. Pogoda w tym czasie sprzyjała do tego, aby zadbać o nasze tereny zielone. Podczas wykonywanych prac kosiliśmy trawę, wyrwaliśmy chwasty z naszego ogródka, malowa-



liśmy płot i sprzątaliśmy wokół warsztatu. W tym czasie znów mogliśmy wspólnie pracować, co sprawiło nam wiele radości. Powróciliśmy do rytmu, któ-

rego tak bardzo nam brakowało. Mamy nadzieję, że z dnia na dzień będzie coraz lepiej i będziemy mogli spotykać się w coraz większym gronie.



Casting do „Down the Road”

Kilka tygodni temu zakończyła się pierwsza edycja programu „Down the road. Zespół w trasie”. Prowadzącym jest Przemek Kossakowski, znany i lubiany, czasami kontrowersyjny podróżnik, który przełamuje tabu. W swoim programie opowiada o szóstce młodych osób z zespołem Downa. Ola, Agnieszka, Dominika, Michał, Grzegorz i Krzysztof wraz z nim ruszają w podróż po Europie. Z pewnością dla całej grupy jest to podróż życia, podczas której mogą odwiedzić sześć krajów, poznać ich kulturę i nawiązać nowe kontakty. W drodze mierzą się ze stereotypami, które często określają ich jako niesamodzielnych i wymagających opieki. Zespół Downa dotyka jedną na 700 osób. Osoby te mają o jeden chromosom więcej, który dużo zmienia w ich życiu.

Bohaterowie pierwszej edycji zaskakują widza swoją szczerością, spontanicznością, otwartością i niezależnością, bo w tę podróż ruszają bez swoich opiekunów, decydując samodzielnie o tym, co w danym momencie zrobić i jak zareagować – a spotykane sytuacje nie zawsze są dla nich komfortowe.



Justyna – na pierwszym planie

Jest to dla nich zwykle pierwsze takie doświadczenie w życiu, kiedy mogą poczuć się wolni i niezależni od innych, i to w obcym kraju.

Dla wielu z nas zwykłe codzienne czynności życiowe są wręcz wykonywane automatycznie, dla nich nie są czymś oczywistym. Przez te proste rzeczy uczestnicy poznają samych siebie, łamiąc bariery codzienności. Przez czas podróży w trakcie różnych sytuacji przełamują coraz to większe granice, na które nie każdy z nas by się odważył. Bo czy lot helikopterem nad górami we Włoszech, nurkowanie w lodowatej wodzie lub spacer na wysokości to zadania, które są do wykonania przez każdego z was?

Zainspirowani pierwszą edycją Justyna i Paweł, uczestnicy naszych Warsztatów, postanowili wziąć udział w programie „Down the road”. Jak tylko pojawiła się możliwość wystartowania w drugiej edycji, natychmiast wystali swoje zgłoszenia do programu. Dla Justyny motorem napędowym jest ciekawość świata, chęć przeżycia nowej przygody, poznanie nowych ludzi oraz zarażanie innych swoją radością i miłością do sportu i tańca. Paweł natomiast chce poznać nowe osoby, spróbować swoich sił w zadaniach wymagających sprytu oraz pokazać swój optymizm i doświadczyć tego, co dotąd było mu nieznanym.

Jak poradzą sobie w podróży? Czego dowiedzą się o samych sobie? Tego dowiemy się, jeżeli zakwalifikują się do programu. Mocno trzymamy za nich kciuki!



Paweł – w środku

Malinowy sernik na zimno

Składniki:

- 500 g twarogu sernikowego z wiaderka
- 250 g malin świeżych lub mrożonych + kilka do dekoracji
- 1 opakowanie galaretki malinowej
- 300 g śmietany kremówki (30 proc.)
- 1 opakowanie cukru wanilinowego
- 50 g cukru (lub 80 g erytrytolu)
- 3 łyżki soku cytrynowego
- 2 łyżki startej skórki cytrynowej
- biszkopty

1. Galaretkę rozpuścić w 250 ml gorącej wody i ostudzić. 200 g śmietany ubić na sztywno. Twaróg zmiksować z cukrem i cukrem waniliowym. Dodać ubitą kremówkę.
2. Maliny zmiksować i dodać do masy serowej. Do ostudzonej galaretki dodać sok i skórkę cytrynową. Następnie połączyć z masą serowo-malinową.
3. Tortownicę o średnicy 26 cm wyłożyć biszkoptami, przelać do niej masę i wstawić do lodówki, aby sernik stężał. Przed podaniem udekorować pozostałą ubitą śmietaną i malinami.

Życzymy smacznego!



Warto pomagać!

Współczesny świat pełen jest ludzi skupionych na samych sobie, swoich potrzebach i swoich sprawach. Niestety, wpadając w pęd, nie zauważamy innych, ich problemów i ograniczeń. Jednakże poprzez życzliwość i wzajemne wspomaganie się można osiągnąć znacznie więcej. Niestety, nie wszyscy mają równe szanse. Niektórzy rodzą się chorzy, innym choroba się przytrafia. Takim osobom należy pomagać. Część z nas pomaga bezinteresownie, a pozostali zadają sobie pytanie, czy warto pomagać? Odpowiadamy zdecydowanie, że warto!

Niesienie pomocy sprawia, że czujemy się ludźmi, wywołuje w nas uczucie bycia lepszym i wartościowszym. Bezinteresowna pomoc nadaje naszemu życiu większy sens, sprawia nam radość, przyjemność i satysfakcję. Podczas takich działań nierzadko na nowo odkrywamy samego siebie. Miłosierdzie, zrozumienie, słuchanie drugiego człowieka to niewiele wysiłku, a potrafi zdziałać cuda u osoby, która tego potrzebuje.

Podczas zajęć na Warsztatach uczymy się nie tylko pracy, ale i pomocy innym. Chętnie działamy bezinteresownie, dlatego postanowiliśmy wyremontować wózki, które były przeznaczone na złomowisko. Przystąpiliśmy do pracy, której było naprawdę sporo. Rozkręcanie, łatanie, pranie, oliwienie, wymiana łożysk to tylko część czynności, które wykonaliśmy. Po kilku intensywnych dniach udało nam się naprawić wózki, które z pewnością posłużą innym. Wspólnie zdecydowaliśmy, aby je oddać osobom potrzebującym.

Jeżeli więc potrzebujesz wózka inwalidzkiego, możesz go otrzymać od nas za darmo. Wystarczy się skontaktować z naszymi Warsztatami pod numerem telefonu: 570280840 lub poprzez stronę internetową www.wtzprzystan.cisi.pl.

Pamiętajcie, aby pomagać innym!
Dzięki temu świat staje się lepszy!



Centrum z Gdańska działa i świętuje

Zofia Franciszkiewicz

Po długim czasie izolacji sanitarnej wreszcie spotkaliśmy się w Sopocie 14.06.2020 r. na naszej wspólnotowej Mszy Św. w Gwieździe Morza. Wszystkim brakowało kontaktów bezpośrednich, mimo że telefoniczne rozmowy odbywały się często. Nie poddawaliśmy się tej zaradzie, chociaż początki były bardzo trudne. Takiej sytuacji nikt jeszcze nie przeżywał – cały świat opanowany pandemią!

Jednak dość szybko dotarło do nas, kto rządzi światem, i leciały w górę jak baloniki westchnienia: „Jezu, ufam Tobie”, „Jezu, Ty się tym zajmij!”, „Boże, Ojczy Miłosierny, Ty trzymasz w swoich rękach nitki naszego życia”; „Maryjo, ratuj nas!”. I było od razu lżej!

Najgorszy czas przeminął. Chociaż pandemia się nie skończyła – nauczyliśmy się z nią żyć.

Msza Św. w Sopocie była wyjątkowa, bo nie dość że pierwsza po długiej przerwie, to na dodatek świętowaliśmy przyjęcie do wspólnoty Centrum Ochotników Cierpienia 22 nowych członków. Radość była wielka.

Zaczęliśmy się też spotykać w naszych parafialnych wspólnotach. Dzieliliśmy się swoimi przeżyciami. Wiele osób pomagało sobie nawzajem: przy zakupie leków i załatwianiu kontaktów z lekarzami, przy rozwożeniu paczek z żywnością, przy szyciu maseczek. Czasem była po prostu potrzebna rozmowa.

20 czerwca odbyła się Msza Św. w kościele Podwyższenia Krzyża Św. w Pruszczu Gdańskim. Wspominaliśmy 36. rocznicę śmierci Luigiego Novarese. W kościele widać było żółte koszulki członków wspólnoty CVS. Mszę Św. odprawił ks. proboszcz Stanisław Łada, słowo Boże wygłosił ks. prof. Sławomir Zalewski, w koncelebrze był również ks. Wojciech Tychnowski. Po Mszy Św. zrobiliśmy pamiątkowe zdjęcie.

Dziękujemy Panu Bogu za te wszystkie promyczki światła i radości!



Wspomnienie bł. Luigiego Novarese na świecie

Br. Wojciech Grzegorek SOdC

W różnych częściach świata świętowaliśmy wspomnienie liturgiczne Błogosławionego Luigiego Novarese. Dzieło, które w 1984 roku całkowicie powierzył Niepokalanej (przeczuwając, że jego czas na ziemi dobiega końca), dziś rozwija się pod płaszczem Maryji na czterech kontynentach. Pamiętając o niezbędnych środkach ostrożności ze względu na pandemię koronawirusa, dziękowaliśmy Bogu za dar naszego założyciela oraz prosiliśmy o jego wstawiennictwo i prowadzenie.

WŁOCHY

W Rzymie wspólnota Cichych Pracowników Krzyża zgromadziła się przy grobie Błogosławionego w Kościele MB Dusz Czyścowych Wspomożycielki przy via Giulia.

W Casale Monferrato, rodzinnym domu Błogosławionego, została odprawiona Eucharystia z niektórymi reprezentantami Ochootników Cierpienia



i Cichych Pracowników Krzyża. W Montichiari, J.E. Bp. Domenico Sigalini odprawił mszę w parku przy domu Cichych Pracowników w Krzyżu.



W Sanktuarium MB Uzdrawienia Chorych w Valletuogo świętowano wspomnienie liturgiczne założyciela, modląc się wraz z chorymi na różańcu oraz na uroczystej mszy, po której uczczono jego relikwie.

W Domu Niepokalanego Serca Maryi w Re neoprezbiter Cichych Pracowników Krzyża, Michel Fayosseh wraz ze wspólnotą oraz gośćmi z domu opieki nad osobami starszymi odprawili wspólnie Eucharystię.



Grupa osób z niepełnosprawnością umysłową wraz z ks. Marcellinem Akonsena, neoprezbiterem ze wspólnoty oraz wychowawcami na wyjeździe wakacyjnym w Ayas odprawiła mszę w ogrodzie Villa Letizia.

W Bari, na południu Włoch, grupa osób z niepełnosprawnością umysłową spotkała się na pierwszej wspólnej Eucharystii po kwarantannie, wspominając naszego Błogosławionego Założyciela.



POLSKA

W Głogowie odprawiono uroczystą mszę w kolegiacie wraz z osobami przebywającymi na turnusie oraz przedstawicielami Ochootników Cierpienia.



Ochootnicy Cierpienia z diecezji gdańskiej zgromadzili się na wspólnej Eucharystii w Pruszczu Gdańskim.



KOLUMBIA

W Kolumbii Ochootnicy Cierpienia świętowali dzień bł. Novarese, opowiadając o jego życiu w krótkich filmikach oraz dzieląc się życzeniami i radością na grupie WhatsApp.

KAMERUN

W Kamerunie wspólnota Cichych Pracowników Krzyża wspominała założyciela na Eucharystii i świętowała na wspólnym podwieczorku.



Bez Jezusa Krzyż nie ma sensu

I część wywiadu z ks. dr. Stanisławem Staśką

Ks. dr Stanisław Staśko – wieloletni duszpasterz osób niepełnosprawnych ruchowo w diecezji tarnowskiej i założyciel Katolickiego Stowarzyszenia „Cyrenejczyk” w Limanowej (1986-2000), autor wielu książek religijnych, rekolekcjonista, wieloletni spowiednik w Bazylice Bożego Miłosierdzia w krakowskich Łagiewnikach, osoba zafascynowana włoską Wspólnotą „Nuovi Orizzonti”, która ratuje osoby zmarginalizowane, pogubione i odrzucone przez współczesną cywilizację z powodu narkomanii, alkoholizmu, uzależnień, hazardu czy prostytucji, z którymi żył, modlił się i pracował we Włoszech oraz w Medjugorje, w Bośni i Hercegowinie (2018-2020).

Izabela Rutkowska: Przez parę tygodni był Ksiądz „gościem” w głogowskim Domu „Uzdrowienie Chorych”. Z tego, co wiem, nie jest to przypadek, że na swoją rekonwalescencję, ale i czas skupienia wybrał Ksiądz akurat ten ośrodek.

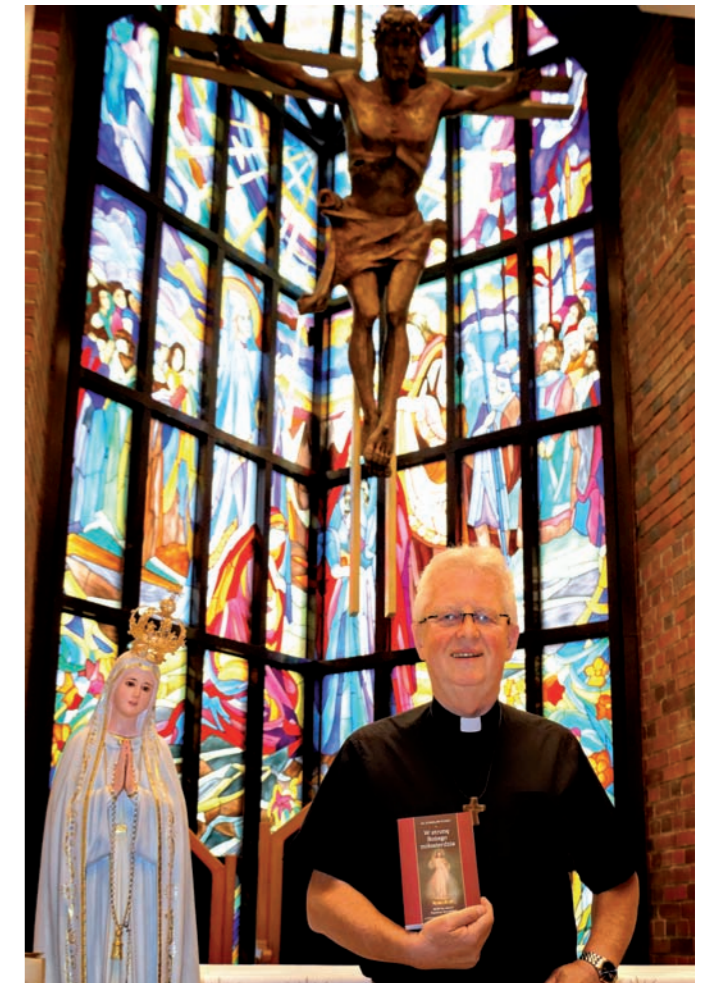
Ks. Stanisław Staśko: Tak, to prawda. Z pewnością to nie „przypadek”, że znalazłem się tutaj, u Cichych w Głogowie, w cieniu niezwykłej świątyni, jaką jest cudownie odbudowana ze zniszczeń doznanych podczas II wojny światowej, piękniejąca dziś kolegiata.

Tego pobytu nie było w moich tegorocznych planach. W takich sytuacjach jak ta, kiedy coś nieoczekiwanego zdarza się w naszym życiu, czego nie planowaliśmy, a co nas głęboko dotyka, porusza, założycielka włoskiej wspólnoty *Nuovi Orizzonti* Chiara Amirante mawia, że to *divina coincidenza*. (*Nuovi Orizzonti* to wspólnota, w której spędziłem ostatnie niemal dwa lata, posługując jako ksiądz, ale przede wszystkim towarzysząc ludziom odrzuconym, zmarginalizowanym, modląc się, żyjąc i pracując fizycznie z narkomanami, z alkoholikami, z „ludźmi ulicy”). *Divina coincidenza*, czyli: *boski zbieg okoliczności*. Tym właśnie według mnie jest obecny pobyt tu, w „Domu cierpienia”. Najwyraźniej Bóg tak chciał, abym *wreszcie* znalazł się nie w „jakimś” ośrodku świadczącym usługi rehabilitacyjne, ale żebym *wreszcie* znalazł się w tym Ośrodku, a przede wszystkim pod jednym dachem z włoską wspólnotą znaną w Polsce i na świecie ze swej działalności na rzecz chorych i niepełnosprawnych.

Czy spotkał się Ksiądz wcześniej z Cichymi Pracownikami Krzyża?

Moja przygoda z Cichymi Pracownikami Krzyża zaczęła się tak naprawdę wiele lat temu, kiedy byłem „sprawny” i sam już pracowałem z osobami niepełnosprawnymi na terenie diecezji tarnowskiej, zakładając tam i organizując od podstaw pierwsze w Polsce, o ile mi wiadomo, diecezjalne duszpasterstwo osób niepełnosprawnych ruchowo oraz Katolickie Stowarzyszenie „Cyrenejczyk” działające na jego rzecz (obecnie z siedzibą w Limanowej). Organizując w Limanowej przez wiele lat Forum Niepełnosprawnych Ruchowo, miałem okazję spotykać ludzi z całej Polski, którym sprawa osób z niepełnosprawnością nie była obojętna.

Dzięki tej działalności miałem szczęście spotkać jeszcze przed 2000 rokiem ks. Janusza Małskiego, jednego z księży–liderów działających nie tylko we Włoszech na rzecz chorych i niepełnosprawnych, ale



i w Polsce, właśnie tu, w Głogowie. Dziś wiem, że naszą wspólną misją było i jest towarzyszenie osobom chorym, cierpiącym, młodym i starszym, mniej czy bardziej niepełnosprawnym, ich bliskim, ale też i wolontariuszom, nie tylko w „procesie rehabilitacji zdrowotnej”, ale nade wszystko w indywidualnym, osobistym odnajdywaniu sensu własnego życia i cierpienia, a zwłaszcza sensu życia z cierpieniem poprzez kontemplację Krzyża i Ukrzyżowanego. Tym jest duszpasterstwo osób żyjących z niepełnosprawnością oraz ich otoczenia.

Kiedy Ksiądz rozpoczął swoją działalność?

Jestem z diecezji tarnowskiej. Zaledwie dwa lata

po święceniach, w roku 1986, przyjmując propozycję siostry Pawły ze Zgromadzenia Sióstr Józefitek, poprowadziłem pierwszą oazę dla osób niepełnosprawnych ruchowo. Potem powoli zaczęły powstawać struktury duszpasterstwa osób niepełnosprawnych ruchowo. W czasach PRL-u nie istniała nawet świadomość, a co za tym idzie wrażliwość na wszelkiego rodzaju potrzeby osób żyjących z niepełnosprawnością. W powszechnej świadomości byli tylko „kalekami” żyjącymi w ukryciu. Dla władz komunistycznych osoby te „istniały” niemal w państwowym niebycie. Spółdzielnie Inwalidów stanowiły dla nielicznych jedyne miejsce społecznej „użyteczności”. Pozostali żyli za niepokonywalnymi „barierami”. Były to nie tylko powszechne bariery architektoniczne (przecież w komunizmie nie było niepełnosprawnych!), jak i bariery kulturowe: brak akceptacji niepełnosprawności jako takiej oraz postrzeganie jej w kategorii „nieszczęścia” czy „kary Bożej”.

Nasza działalność, przesiąknięta katolicką wrażliwością, była próbą wydobywania ze „społecznego niebytu” człowieka doświadczającego niepełnosprawnością, była pomocą w przywróceniu mu jego wrodzonej godności. Nasza wówczas pionierska działalność na rzecz tych osób była też próbą przebicia „szklanego sufitu” uprzedzeń i stereotypów zakorzenionych przez wieki w sposobie patrzenia i postrzegania osób poruszających się o kulach czy na wózkach, których w tamtych latach chronicznie brakowało. Wtedy wszystko to, co robiliśmy dla tego środowiska, to naprawdę było szaleństwo! Nigdy nie żałowałem tego, że Bóg pozwolił mi odkryć piękno człowieka ukryte czasami w bardzo zniekształconym ciele. Piękno duchowe

wielu osób niepełnosprawnych jest tak naprawdę afirmacją człowieczeństwa. To dlatego „oni” przyciągali do siebie wolontariuszy: młodzież, kleryków, młodych księży, dla których byli autentycznym odkryciem „piękną” ukrzyżowanego człowieka w Ukrzyżowanym Chrystusie, w „połamanym Chrystusie” (por. Roman C. Romano, *Mój połamany Chrystus*).

Bogu niech będą dzięki, że na szczęście wówczas, jak i dziś, nie brak wciąż ludzi „szalonych”, ludzi do szaleństwa zakochanych w człowieku, w każdym człowieku, także tym chorym i niepełnosprawnym, ponieważ w każdym namacalnie żyje i cierpi Chrystus. Rzeczywiście, byliśmy wówczas bardzo aktywni na tym „zaniedbanym” polu duszpasterstwa. Czy to było szaleństwo? Tak, to było szaleństwo, a wielu

bezgranicznie do dziś pozostaje owładniętymi tym altruistycznym szaleństwem! Byliśmy na tyle aktywni, że informacje o naszej działalności roznosiły się po całej Polsce. Dzięki temu spotkałem ludzi, którzy do dziś są szaleni w misji kochania człowieka,

szczególnie ukochanego i powołanego do „współcierpienia” z Chrystusem, dla których słowa św. Pawła z 1 Listu do Kolosan: „Teraz raduję się w cierpieniach za was i ze swej strony w moim ciele dopełniam braki udręk Chrystusa dla dobra Jego Ciała, którym jest Kościół” (1 Kol 1, 25), nie były sloganem. To dzięki fascynacji człowiekiem „ukrzyżowanym” z Chrystusem miałem okazję spotkać takich księży jak ks. Janusz Malski oraz poznawać dzieło ks. Luigiego Novarese, dziś błogosławionego oraz takich księży jak wyjątkowo zasłużony w swej pasji i działalności na rzecz niepełnosprawnych ks. Stanisław Łada z Gdańska, czy zmarły w tym roku ks. Stanisław Jurczak z Warszawy.



Trzeba pamiętać, że wszystko to działo się jeszcze w „starym systemie”, w PRL-u, w którym człowiek niepełnosprawny tak na prawdę nie istniał, a jeśli istniał to z jakimś (dziś) niezrozumiałym „piętnem”, które musiał ukrywać, izolując się we własnym domu – ukrywać, czasami w sposób okrutny, przed krewnymi, sąsiadami, przed społeczeństwem, a nawet przed wspólnotą wiary, czyli lokalnego kościoła. Większość ludzi nie miała nawet świadomości, że istnieją tacy ludzie oraz jak bardzo są skrzywdzeni. Bardziej przez odrzucenie i zapomnienie niż przez samą niesprawność. W tamtych czasach istniały formalnie jedynie tzw. zakłady inwalidzkie...

Inwalidzkie... Nieładne słowo...

Rzeczywiście. Słowo *inwalida* bardzo mocno i – dodajmy – negatywnie odciskało się na tożsamości osób niepełnosprawnych, podobnie jak inne, moim zdaniem jeszcze gorsze określenia, jak *kaleka* czy *niedorozwinięty*. Takie określenia nie ułatwiały misji w przywracaniu społeczeństwu jak i wspólnocie Kościoła osób „zmarginalizowanych” przez choroby czy niepełnosprawność. Tego rodzaju nazewnictwo, a zarazem faktyczna izolacja osób żyjących z różnego rodzaju schorzeniami narządów ruchu i nie tylko, były źródłem wielu barier psychologicznych i społeczno-kulturowych. Sam doświadczyłem, jak to boli, kiedy ktoś określa cię w taki właśnie sposób. Niektórzy ludzie, nie pamiętając mego nazwiska mówili o mnie: *Wiesz, był tu u nas ten „ksiądz od kalek”*. Takie określenia wręcz pozbawiają osobę ludzką jakby człowieczeństwa. Poniżają, redukują i uprzedmiotawiają. Dziś na szczęście najczęściej używamy określenia *osoba niepełnosprawna*, albo, co mi bardziej odpowiada, *człowiek z niepełnosprawnością*. Zawsze jednak *człowiek*, zawsze *osoba*. Bardzo mi się to podoba. Również w moim doktoracie, obronionym na Papieskim Uniwersytecie Jana Pawła II w Krakowie, poświęconym ludzkiemu cier-

pieniu oraz duszpasterstwu osób niepełnosprawnych ruchowo diecezji tarnowskiej, eksponowałem ten aspekt.

W poszukiwaniu właściwego, odpowiedniego dla wrodzonej godności osoby ludzkiej, adekwatnego określenia osób niepełnosprawnych dostrzegałem pozytywną „ewolucję”, w której wyrażała się empatia, zrozumienie, współczucie i solidarność całej ludzkości. Różni nas sprawność, ale nie „kategoria”. Mamy przecież to samo człowieczeństwo i tę samą godność, tę samą wielkość oraz powołanie w Bogu. My wszyscy, niezależnie od sprawności, wzrostu, koloru skóry czy innych przymiotów, jesteśmy Jego umiłowanymi dziećmi, stworzonymi na Jego obraz i podobieństwo.

W całym procesie przemian lat 80. ubiegłego wieku wielki wpływ na postrzeganie człowieka, każdego człowieka miało nauczanie i postawa papieża Polaka. Jan Paweł II powtarzał bardzo często i przy różnych okolicznościach, że „człowiek jest drogą Kościoła”. Dzięki niemu mamy „Światowy Dzień Chorego” (11 lutego, we wspomnienie Matki Bożej z Lourdes). W takim kontekście powoli dochodziło do swoistej „emancypacji” człowieka niepełnosprawnego, o którym dziś mówi się i powinno się mówić zawsze, jako o człowieku „z niepełnosprawnością”. I to określenie: człowiek z... niepełnosprawnością jest dla mnie genialne. Sam poszukiwałem odpowiedniego sformułowania, które podkreśliłoby osobowy wymiar „niepełnosprawnego”. Stąd między innymi: „Katolickie Stowarzyszenie przyjaciół osób niepełnosprawnych ruchowo „Cyrenejczyk”.

Człowiek z niepełnosprawnością... Prawda jest taka, że my wszyscy żyjemy z... „czymś”, z jakąś niedoskonałością. Ktoś żyje z nadwagą, inny z niedowagą, inny z nowotworem, ktoś z hashimoto, z astygmatyzmem, z odstającymi uszami. Na szczęście nie ma jednego, jedyne „wzorca” osoby doskonałej. Na szczęście nie mamy „modelu ciała”, do którego mamy się wszyscy upodobnić, który byłby

jedyną „normą” społecznie akceptowalną. Każdy z nas ma w sobie jakieś indywidualne braki, które nas wyróżniają, ale nie znaczy, że pomniejszają. Po prostu jesteśmy różnorodni. I niech tak będzie.

Tak, to racja. Bóg przecież w żadnym z przykazań nie zawarł nakazu dotyczącego naszego wyglądu.

Bogu niech będą dzięki. Bóg bowiem kocha każdego z nas takiego, jakim jest. Stwarza nas nie jako kopie naszych przodków, nie jako „klony”, ale kreuje nas, stwarza na swój obraz i podobieństwo, dając każdemu z nas indywidualną odmienność, niepowtarzalność. Tak jak niepowtarzalne są linie papilarne naszych palców, jak niepowtarzalna jest siatkówka naszego oka, tak każdy z nas jest jedyny w swoim rodzaju.

Dobrym przykładem boskiej inwencji przy kreacji i prokreacji są bliźniacy. Kiedy się rodzą, zdają się, że są do siebie podobni „kropla w kroplę”, a jednak nawet oni mają różne cechy, różne charaktery, inne osobowości. Tak, ta różnorodność, niepowtarzalność czyni nas ludźmi, a cały świat przez to staje się ciekawszym i piękniejszym. To boskie dzieło stworzenia i odkupienia.

Co istotnego wnosi wiara w postrzeganie człowieka i jego niepełnosprawności?

W naszych czasach dość często kwestionuje się (i to coraz głośniejsze i agresywniejsze) samą ideę Boga. Negując zaś istnienie Boga osobowego, Kreatora, równocześnie zaprzecza się też dziełu odkupienia, którego przez krzyż i zmartwychwstanie dokonał Chrystus. Kwestionując samego Boga, podważa się nie tyle samą moralność, czyli jakiś ład, porządek oparty na Bożych przykazaniach, na chrześcijańskich zasadach, na miłości bliźniego, na przebaczeniu w imię Boga, ale usiłuje się zakwestionować coś bardziej istotnego i fundamentalnego – samą naturę człowieka. We współczesnej filozofii sposób takiego rozumowania określa się mianem redukcjonizmu. Świat pozbawiony idei Boga-Stwórcy, teoretycznie wydaje się, że mógłby istnieć. Wielu współczesnych „krea-

torów” naszej rzeczywistości za wszelką cenę chce takiego świata, walcząc z wszelkimi formami religijności, a zwłaszcza z katolicyzmem, który ma najbardziej logiczny i spójny system – teologię.

Obawiam się jednak, że człowiek pozbawiony Boga w imię „nowej koncepcji”, odarty z nadprzyrodzoności i pozbawiony swej „boskiej” godności (która oznacza, że został ukształtowany z ciałem i duszą nieśmiertelną, obdarowany rozumem, a nie tylko mózgiem (!) oraz wolną wolą, posiadający w swej naturze boskie podobieństwo i przeznaczenie do szczęśliwej nieśmiertelności, do wieczności) nie przetrwa. Co więcej, nie będzie w stanie żyć aż do swej naturalnej śmierci, ponieważ w materialistycznej wizji człowieka ani poczęcie, ani narodzenie, ani życie, ani tym bardziej niepokonywalne cierpienie, nieuleczalna choroba czy niepełnosprawność nie znajdują usprawiedliwienia, aby je przyjąć, zaakceptować i ochronić. I tego już dziś jesteśmy świadkami. To dzieje się na naszych oczach. Tam, gdzie górę bierze ideologia oparta na materializmie i ateizmie, wartość człowieka chorego staje się niezrozumiała i nie do zaakceptowania. Dlatego tak łatwo forsuje się globalną antykoncepcję, aborcję, eutanazję, inżynierię genetyczną. Chciałoby się powiedzieć: najlepszym na wszystko rozwiązaniem jest śmierć.

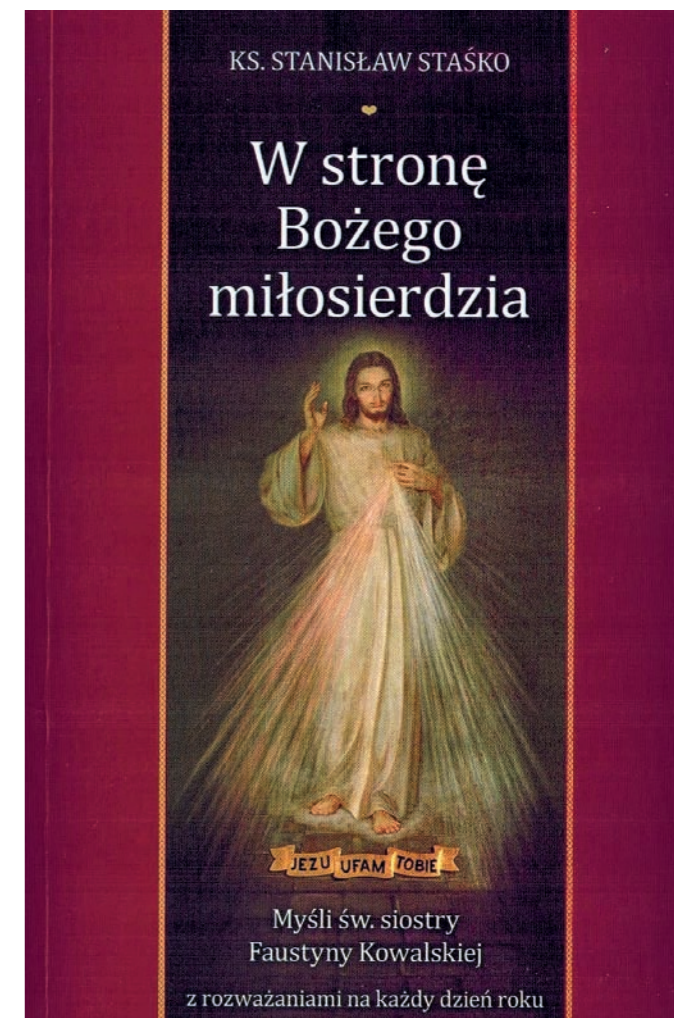
Taką cywilizację bez Boga, bez człowieka stworzonego, odkupionego i kochanego przez Boga, święty Jan Paweł II nazywał „cywilizacją śmierci” (por. Jan Paweł II, *Veritatis splendor*, Watykan 1993; *Evangelium vitae*, Watykan 1995). Tak odarty ze swej boskiej godności człowiek, z boskiego aktu stworzenia (kreacji i prokreacji) oraz z boskiego aktu odkupienia, w którym objawiła się nieskończona i niewyobrażalna Miłość Boga do ludzi, która potwierdziła się we Wcieleniu, w Ukrzyżowaniu i Zmartwychwstaniu Jego Syna, Jezusa Chrystusa, zostaje ostatecznie pozostawiony samemu sobie, rzucony niemal na pożarcie nieokiełznanym wówczas namiętnościom, pożądliwościom. Bo niby dla kogo [Kogo?] i dla czego [także w sensie: dlaczego?] miałby być „lepszym”? Nie mogąc w takim świecie bez Boga odnaleźć dogłębnej i zaspakajającej jego

wewnętrzne (a jednak duchowe, a nie tylko psychiczne) aspiracje odpowiedzi na fundamentalne pytania: Kim jestem? Po co żyję? Dlaczego cierpię? Czy życie z chorobą nieuleczalną, z niepełnosprawnością ma (jakikolwiek) sens? – często rezygnuje z życia, odbierając je sobie.

Tylko chrześcijaństwo i jego „boska” antropologia pozwala każdemu człowiekowi w pełni i w satysfakcjonujący sposób odnaleźć odpowiedź na powyższe pytania. Gdy świat stworzony przez Boga stanie się światem „nie-boskim”, stanie się z pewnością także światem „nie-ludzkim”. Człowiek pozbawiony świadomości istnienia w nim „boskiej iskry”, boskiego tchnienia, źródła jego ludzkiej godności, która zakotwiczona jest w naturze Boga Stwórcy, a nie w naturze homo (animal) sapiens, obróci się (według mnie już obraca się) przeciwko drugiemu człowiekowi, poczynając od najślabszych, od jeszcze nienarodzonych dzieci oraz ludzi starszych i schorowanych, w tym osób niepełnosprawnych. Objawiający się w Biblii Bóg nie ratuje siebie, ale jest ratunkiem dla ludzkości. A wszystko rozbija się *de facto* tylko o jedno pytanie, które Jezus, Boży Syn najczęściej zadawał napotkanym ludziom: „Czy wierzysz?”

Kiedy jesteśmy zdrowi, gdy czujemy się szczęśliwi, w zasadzie nie potrzebujemy zadawać sobie takich pytań, tak zw. pytań egzystencjalnych. Zadawała nas dziś, teraz.

Oczywiście, kiedy wszystko jest „po naszej myśli”, wówczas tylko „dociekliwi” i „fanatycy” idei (filozofii) zadają sobie takie czy podobne pytania, szukając zadowalających odpowiedzi. Większość całkiem nieźle radzi sobie bez „zamęczania” szarych komórek tego typu dociekaniem. Gdy udaje się nam żyć w „trybie”: „jedz, pij i używaj świata, póki służą lata”, wówczas rzeczywiście możemy mieć wewnętrzne przekonanie (a wielu tak właśnie twierdzi, że je ma!), że jesteśmy „samowystarczalni”

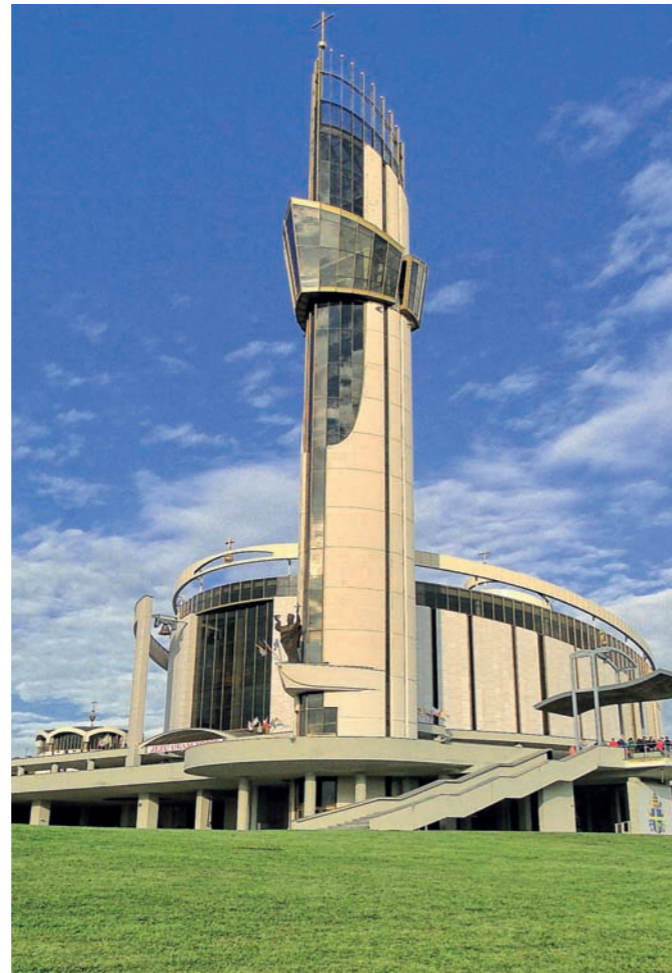


i całkiem nieźle funkcjonujemy bez „idei” Boga. „Bóg nie jest mi do niczego potrzebny!”. Przecież w naszym świecie, opartym głównie na konsumpcjonizmie (mieć i „zjeść”!) i utylityzmie (łac.: *utilis* – użyteczny; jesteśmy tylko „przedmiotami” użytecznymi!), wydaje się, że całkiem nieźle radzimy sobie bez Bożych przykazań, a nawet obywamy się bez Jego Miłości i miłosierdzia. Wystarcza nam już tylko wybiórcza filantropia (gr. *philantropia* – dobroczynność).

W tak „funkcjonalnym”, wymyślonym już tylko przez ludzi świecie, opartym tylko na ludzkich prawach, wydaje się wielu, zwłaszcza młodym, że nie potrzebujemy już boskiej, nadprzyrodzonej pomocy,

aby żyć i bawić się nieźle na ziemi, aż do... Niejednokrotnie, kiedy pytam o wiarę, zwłaszcza ludzi młodych, odpowiadają mi, że Bóg nie jest im już do niczego potrzebny. Gdy są zdrowi, sprawni, inteligentni, a gdy do tego mają wystarczającą ilość gotówki – odpowiedź na pytanie o sens „takiego” życia (udanego, pomyślnego, lekkiego, pozbawionego problemów i zakazów) bywa bardzo łatwa. Konsumpcjonizm wierzy, że aby uszczęśliwić współczesnego człowieka, wystarczy zaspokoić jego potrzeby cielesne. I rzeczywiście, większość tych potrzeb można sobie zwyczajnie kupić. Szukając sensu życia w zaspokajaniu potrzeb materialnych, jeśli nie czujemy się spełnieni, możemy dokupić sobie „anastyki” za pomocą których uciszymy rodzający się w nas, „gdzieś” wewnątrz egzystencjalny niepokój o sens wszystkiego, w tym o sens własnego życia. Świat wówczas daje nam dostęp do „znieczulaczy” głosu sumienia. Sklepy z (tanim) alkoholem czynne „24 na dobę”, podobnie usługi seksualne (w najgorszym przypadku pornografia bez ograniczeń), dobre jedzenie, dyskoteki, kluby nocne itd. To wszystko rzeczywiście wielu starcza, ale tylko do czasu. Jednak, jak powszechnie wiadomo, to nie rzeczy, nie posiadane przedmioty czynią nas szczęśliwymi, ale drugi człowiek. „Nie samym chlebem (nie samą konsumpcją) żyje człowiek!” – to słowa Jezusa skierowane do szatana i tych, którzy mu wierzą!

Kochać i być kochanym. Tego potrzebuje każdy z nas, aby żyć. Aby żyć, potrzebujemy bardziej miłości niż seksu, potrzebujemy być akceptowani, a nie tylko tolerowani. Tylko miłość może nas uszczęśliwić. Współczesny człowiek szybko się przekonuje, że prawdziwej miłości nie można sobie kupić, prawdziwej przyjaźni też nie można sobie kupić. Życie jest jak weryfikator! Tym weryfikatorem jest tzw. ciężar życia. Są to: choroba, niezawinione cierpienia, utrata zdrowia (tego też nie jesteśmy w stanie sobie kupić), utrata pracy, środków do życia, krzywda doznana od innych, zawód i rozczarowanie, czasami nawet ze strony najbliższych, wreszcie własna



słabość, skłonność do zła, osobiste zawinione i niezawinione niepowodzenia, wreszcie czyjaś śmierć, zwłaszcza nagła kogoś, kogo Kochamy. Jednym słowem wszystko to i jeszcze wiele innych rzeczy, które w zderzeniu z *realem*, domagają się satysfakcjonującej odpowiedzi. Bez Boga, bez Boga objawiającego się w Biblii, bez Boga objawiającego się w zbawczej Misji Jezusa, świat nie może nikomu dać satysfakcjonującej odpowiedzi na żadne egzystencjalne pytanie. Stąd dziś tak wielu rozczarowanych materializmem świata.

W następnym numerze „Kotwicy” ciąg dalszy rozmowy z ks. Stanisławem.

Dawać nadzieję innym

s. Beata Dyko SOdC

Ostatni czas jest dla nas czasem, w którym zostaliśmy postawieni w rzeczywistości, która ogranicza w jakiś sposób nie tylko naszą wolność, ale też może pozostawić skutki, które wycisną długotrwały ślad w naszym życiu. Podstawowe pytanie, które powinniśmy sobie zadać brzmi: czy dobrze przeżyliśmy czas odosobnienia? A może go straciliśmy?

Może ten czas był nam dany po to, byśmy na nowo odnaleźli drogę do Boga, do siebie samych, do drugiego człowieka? Każdy z nas przeżywał ten czas narodowej kwarantanny w różny sposób.

U jednych zrodził się lęk przed zarażeniem koronawirusem i ewentualną śmiercią, u innych wyszły na światło dzienne rzeczy, które skrupulatnie zostały zakopane lub zamiecione pod dywan, przez co musieliśmy się zmierzyć sami z sobą. Jednak są i tacy, którzy ten czas potrafili wykorzystać pozytywnie na maksa, skupiając się nie tylko na samych

sobie, ale też na drugim człowieku. Tyle słyszeliśmy przecież o wzajemnej pomocy, robieniu zakupów itd.

Wielu ludzi zostało zatrzymanych w gonitwie za pieniędzmi, w drodze po sukces, po więcej i więcej. Znaleźli się też tacy, dla których był to czas na odnowienie więzi rodzinnych, bo w końcu był to czas dla rodziny. Byli też tacy, którzy skupili się na swojej rela-

cji z Bogiem, Tym który wcześniej bywał jedynie dodatkiem w życiu zamiast stać na pierwszym miejscu.

Jak wielu ludzi tak wiele doświadczeń tego czasu, który zmienił tak naprawdę wszystko. A przecież każdy czas jest nam dany po coś. Kwestia tylko tego, jak go wykorzystamy? Czy go stracimy, czy może

dzięki temu, że zostaliśmy zmuszeni do pozostania w domu, niebawem okaże się, że był to czas błogosławiony. Dzięki temu doświadczeniu izolacji domowej w ludziach zrodziło się wiele pozytywnych emocji, uczuć. Pomagali sobie wzajemnie i robią to



nadal, bo chociaż piszę w czasie przeszłym i mamy więcej luzu, to pandemia trwa nadal.

Dla ludzi wierzących trudne do przyjęcia było to, że nie można pójść do kościoła, że w tym roku Święta Wielkanocne były Triduum Paschalne było bez wiernych... Wielu z nas bardzo cierpiało z tego powodu. Jednak cóż mogliśmy zrobić? Narazić siebie, naszych bliskich z powodu nieprzestrzegania zarządzeń, które były nakładane przecież dla naszego dobra? Czyż Pan Jezus nie mówił, że posłuszeństwo jest najważniejsze? Przypomnijcie sobie słowa skierowane do s. Faustyny. A z drugiej strony, czyż Pan Jezus sam nie był posłuszny, idąc na Krzyż z miłości do nas?

Ten czas był też bardzo trudnym okresem dla mnie. Nie tylko jako dla chrześcijanki, ale też osoby konsekrowanej. Starłam się dobrze wykorzystać upływające godziny – na więcej modlitwy, na czytanie książek itd. Jednak to, czego mi najbardziej brakowało, to możliwość spowiedzi, Eucharystii, Komunii Świętej, spotkań z najbliższą rodziną czy przyjaciółmi. Po części czułam się jak w więzieniu... To chyba był dla mnie jeden z najtrudniejszych momentów – kiedy uświadomiłam sobie, że dłużej tak nie mogę, że jeśli Pan Bóg mi nie pomoże, to nie dam rady... Czułam się naprawdę, jakby mnie ktoś zamknął

i odciął od Tego, który jest dla mnie wszystkim. Jednak modlitwa zrobiła swoje, a raczej Pan Jezus wysłuchał moich prośb, błagań i wiedział, że dłużej nie dam rady... No i nadszedł dzień, po trzech miesiącach bez Pana Jezusa, spowiedzi i przyjęcia Komunii Świętej... Łzy leciały mi ze szczę-



ścia, nie byłam w stanie powiedzieć słowa, ale był to dla mnie najpiękniejszy moment... Tak bardzo za Nim tęskniłam...

Dlaczego piszę o tym wszystkim i to tak bardzo osobiście? Już odpowiadam. Wspominałam wcześniej, że dużo czytałam i odkryłam książkę bardzo odpowiednią na ten czas, ukazującą jak można żyć, będąc pozbawionym wolności; jak można nie zmarnować swojego życia, kiedy wydaje się nam, że nie jesteśmy w stanie nic zrobić.

Mowa o pozycji pt. *Niebo w kolorze popiołu*, którą napisała s. Benedykta Karolina Baumann OP (dominikanka).

Jest to historia bł. siostry Julii Rodzińskiej, która swoim życiem pokazała (i wiem, że dzięki tej książce będzie nadal pokazywać), że „*przebaczenie i współczucie jest realne w każdych warunkach. I wiedziała ona o tym, że warto zapłacić za to nawet największą cenę*” (cytat z tylnej okładki książki).

W czasie pandemii bombardowani byliśmy wiadomościami o tym, co działo się na całym świecie, ile jest zachorowań, ile osób zmarło. Trudne do przyjęcia były wiadomości z Włoch, kiedy słyszeliśmy, że lekarze muszą wybierać kogo ratować, że pacjenci odchodzą bez sakramentów. Jak w tym wszystkim znaleźć nadzieję, a co dopiero dawać nadzieję innym?

Pewnie niejednen z nas zadawał sobie pytanie: dlaczego Pan Bóg na to pozwala? Czemu milczy? Czemu nie

uczyni jakiegoś cudu? Bł. Julia żyła w czasie II wojny światowej, kiedy te pytania były również zadawane, ale w innej rzeczywistości. W tamtym czasie zaczęły się prześladowania Żydów (zresztą nie tylko ich), nie

wolno było się modlić..., a siostry dominikanki prowadziły sierociniec.

Życie tej Siostry od samego początku było naznaczone cierpieniem, gdyż była sierotą, która wychowywała się u dominikanek. Później to ona sama zajmowała się sierotami z ulicy. Do czasu... aż sama została wywieziona do obozu, gdzie oddała swoje życie. Miała chwile zwątpienia, kiedy sił brakowało, ale zawsze Pan Bóg dawał jej kogoś, kto przywracał nadzieję i przypominał o tym, że jeśli ona straci nadzieję, to kto będzie dawał nadzieję innym? W najtrudniejszych dla niej momentach przypominała sobie słowa swojego spowiednika, który mówił: „*Pamiętaj, moje dziecko, musisz dawać nadzieję ludziom, do których posyła Cię Bóg. Nawet jeśli byłoby Ci bardzo źle. Zawsze znajdą się bardziej głodni od Ciebie*” (s. 78).

Więźniarki z nią osadzone potrzebowały właśnie tej nadziei, którą ona miała, bo „*żadne miejsce nie jest straszne, jeśli mamy w sercu Boga. Światłość w ciemności świeci i ciemność jej nie ogarnęła*” (s. 79). Pomagała innym jak potrafiła. Modliła się wbrew zakazom, ryzykując życie, zorganizowała Mszę Świętą w obozie, uratowała wiele istnień, nie tylko w sposób fizyczny, ale też duchowy.

W tej książce poruszyło mnie wiele, ale chciałabym się skupić na dwóch wątkach, które są bardzo bliskie mojemu sercu i tego, kim jestem, ale też myślę, że są ważne dla wszystkich tych, którzy cierpią, jak i tych, którzy są spadkobiercami charyzmatu bł. Luigiego Novarese i starają się ukazywać wartość cierpienia.

S. Julia czerpała siły z niesamowitej wprost wiary, by przetrwać wojnę, obóz, a jednocześnie by służyć drugiemu człowiekowi. Nasz bł. Luigi Novarese tak mówił: „*trzeba nam wierzyć, wierzyć z całego serca, wierzyć w momentach szczególnego zaangażowania i wierzyć w godzinach opuszczenia i trudu, które wydają się wręcz pozbawione nadziei. Czy skrzydła miłości i ofiary są zarezerwowane tylko dla orłów? Nie, jest to zwykła droga, którą widzimy bardzo jasno, a którą powinniśmy podążać bez lęku, bez*

oglądania się do tyłu, pewni mocy Chrystusowego Krzyża, z którym złączony jest i nasz krzyż”. Dlatego bez wiary nie jesteśmy w stanie przetrwać najtrudniejszego czasu. Czyż dla niektórych z nas takim trudnym czasem nie była przymusowa kwarantanna narodowa i ograniczenia za tym idące? Czyż nie było nam trudno żyć bez źródła życia, jakim jest Eucharystia, spotkanie z drugim człowiekiem? Jednak to właśnie dzięki tej wierze wytrwaliśmy i przyjmowaliśmy wolę Bożą, która była trudna. Czego się jednak nie robi z miłości, z miłości do Boga. „*Bądź wola Twoja*”.

Z pewnością w wielu sytuacjach cierpienia nie jesteśmy

w stanie znaleźć odpowiednich słów, kiedy np. koronawirus zabierał kogoś, kto być może był nam bliski... „*jednak jest taki jeden rodzaj bólu, wobec którego można tylko zamilknąć*” (s. 295), a ja dodałabym: i się modlić. „*Bardzo często jesteśmy bezradni wobec zła. I możemy oddać Bogu tylko tę naszą bezradność...*” (s. 473). Choroba zawsze jest czymś złym i często czujemy się bezsilni, widząc jak ktoś cierpi lub sami tego cierpienia doświadczamy.

„*Żadne miejsce nie jest straszne, jeśli mamy w sercu Boga. Światłość w ciemności świeci i ciemność jej nie ogarnęła...*”



Także w aktualnej sytuacji nie mamy wpływu na to, czy na 100 procent ochronimy się przed chorobą, ale jestem pewna jednego. Dopóki będziemy się modlić, dopóki będziemy ufać Bogu i wierzyć w to, że On z każdego zła potrafi wyprowadzić dobro, to damy radę to wszystko przetrwać i zyskamy bardzo wiele.

Siostra Julia ostatnie dni w obozie spędziła, pomagając osobom chorym na tyfus, sama nim się zarażając i z jego powodu umierając. Jednak to, co mnie uderzyło, to niesamowite świadectwo życia w całkowitej jedności z Bogiem. To On zabierał jej strach i dawał poczucie wolności wewnętrznej, której nikt

nie mógł jej zabrać. Sama Niemka, która była jej Kapo, po zobaczeniu jej zwołk i wyrazu twarzy, pomyślała sobie, że tylko ona była tutaj naprawdę wolna.

Bł. siostra Julia doświadczyła również niesamowitej tęsknoty za Panem. Przez przeszło rok czasu nie przyjmowała Pana Jezusa, nie spowiadała się, nie uczestniczyła w Eucharystii. W dniu, kiedy przyjęła Pana Jezusa w obozie, jak sama mówiła, czuła się jak dziewczynka przyjmująca Pana Jezusa w czasie Pierwszej Komunii Świętej. Niejednokrotnie mówiła Panu Jezusowi, jak bardzo tęskni za Nim, jak bardzo umiera bez Najświętszej Ofiary... W takich momentach słyszała wewnątrz głos, który mówił do niej:

„Dopóki tęsknisz, Twoja dusza żyje”.

Tak bardzo ją rozumiałam..., choć moja tęsknota była krótsza w związku z pandemią, to wiem, jak się czułam i czuję, przyjmując teraz Pana Jezusa. Jednak ta tęsknota pokazała mi, że kocham i że nie wyobrażam sobie życia bez sakramentów, bez Pana Jezusa.

Dla mnie lektura tej książki to swoisty rachunek sumienia... Nieraz się wzruszyłam, ale było to dobre wzruszenie. I wiecie co? Chciałabym tak jak s. Julia usłyszeć przed samą śmiercią ten Jedyny głos, który mówi:

„Zostaw to. Pójdź za Mną... Jesteś pyłkiem tańczącym w świetle” (s. 609).

Bardzo serdecznie polecam Wam lekturę książki *Niebo w kolorze popiołu*, bo pozwala na nowo odkryć piękny świat wiary, a też pokazuje, jak żyć, kiedy wydaje się nam, że życie nas przerasta. Pamiętajcie o tym, że

„Bóg jest przy nas zawsze. A najbardziej w tym, co nas przerasta” (s. 302).

ANGIOLINO BONETTA

kolejny nastolatek zostanie świętym

Anna Druś

Nastolatki z Włoch mają ostatnio dobrą passę w Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych – można pomyśleć, czytając najnowsze dekrety podpisane przez papieża. Wśród zasłużonych dla Kościoła księży i zakonnic znów znalazł się tam dekret o heroiczności cnót zaledwie 14-letniego chłopca Angiolino Bonetty, który zmarł w 1963 r. na raka kości, ofiarowując swoje cierpienia za nawrócenie grzeszników.

„Jeśli on pójdzie do nieba, będziemy musieli zaopatrzyć się w teleskop” – żartowali jego bliscy i znajomi, nawiązując do jego drobnej budowy ciała. Żartowali, ponieważ on sam także miał dystans do siebie i to wśród najcięższych doświadczeń. Dotknięty rakiem, pozbawiony nogi, pocieszał smucące się nad jego losem rodzeństwo, mówiąc: spokojnie, po amputacji przynajmniej będę krócej mył nogi i obcinał paznokcie”.

Współcześni nastolatki i ludzie młodzi idą ostatnimi czasy przez Kongregację ds. Świętych jak burza. Nie dalej jak w czerwcu ogłoszono datę beatyfikacji Carla Acutisa, 15-letniego fascynata komputerów i Eucharystii. Natomiast wcześniej w maju czcigodnym sługą Bożym został 19-letni Matteo



Farina – „tajny agent Pana Boga” wśród zlaicyzowanych rówieśników, również Włoch. Na koniec pandemii czeka też (przesunięta z jej powodu) beatyfikacja 24-letniej Włoszki Sandry Sabbatini, a dwa numery temu pisaliśmy o francuskiej 8-latkę, której proces beatyfikacyjny ruszy lada chwila.

Ogłoszony teraz Czcigodnym Sługą Bożym Angiolino Bonetta wyprzedził ich wszystkich w drodze do świętości, bo urodził się w roku 1948, niedługo po II wojnie światowej w rodzinie ubogich robotników w miasteczku Cigole, niedaleko Brescii na północy Włoch. Od dziecka rozmodlony i zakochany w Eucharystii był również zwykłym chłopakiem, o którym rodzice mówili „żywe srebro”, tak bardzo nie mógł usiedzieć w miejscu. Wspólnie z rodzeństwem całe dni spędzał na dworze, biegając za piłką lub pływając w pobliskiej rzece.

Gdy miał 11 lat, zaczął skarżyć się na ból nogi i po serii badań zdiagnozowano u niego raka kości. Aby ratować życie chłopca, lekarze zdecydowali o amputacji kończyny. Dla chłopaka uwielbiającego grać w piłkę czy pływać w rzece to musiał być wstrząs. Ale zniósł go nad wyraz dojrzałe. Wioząca go na operację siostra zakonna spytała, czy chciałby komuś ofiarować swoje cierpienie. – Już to zrobiłem. Ofiarowałem wszystko Jezusowi za nawrócenie grzeszników – odpowiedział Angiolino.

Jak się okazało, inspiracją w takim pojmowaniu własnego doświadczenia była dla niego historia objawień w Fatimie, zwłaszcza prośba Maryi kierowana do widzjących Ją dzieci, by szczególnie modliły się w intencji nawrócenia ludzi zmierzających prosto do piekła. Od tego momentu to była jego praw-

dziwa misja: aktywnie współuczestniczyć w ratowaniu od piekła grzeszników.

Pierwszą „akcję” podjął zaraz po operacji amputacji swojej nogi. Poproszono go o modlitwę w intencji pewnego protestanta obrażającego Kościół katolicki. Gdy tylko Angiolino o tym usłyszał – wieczorem, po wyjściu pielęgniarek zsunął się z łóżka na ziemię i całą noc spędził na posadzce pograżony w modlitwie za tego człowieka. W niedługim czasie protestant poprosił o katolickie sakramenty i umarł pojednany z Bogiem.

Takich jego działań było więcej. Leżąc na oddziałach szpitalnych, zachęcał innych cierpiących do modlitwy, ufności Bogu i ofiarowywania Jemu swojego cierpienia.



P r a w d z i w e wsparcie w tych działaniach znalazł w niedawno powstałym apostolacie Centrum Ochołników Cierpienia, działającym już na terenie jego diecezji, a także w rodzącej się dopiero wtedy wspólnocie Cichych Pracowników Krzyża, którą kilka lat

wcześniej powołał do istnienia włoski kapłan bł. Luigi Novarese. (...)

Angiolino i ks. Novarese spotkali się zresztą osobście, ponieważ rodzice przywieźli chłopca na rekolekcje dla chorych prowadzone przez tegoż kapłana w domu nowo powstałej wspólnoty, w miejscowości Re położonej w górach Piemontu. Wywiązał się wtedy między nimi ciekawy dialog. – Angiolino, słyszałem, że chcesz jechać do Lourdes. Dlaczego? – spytał ks. Novarese. – Chcę prosić Matkę Bożą o uzdrowienie, żebym mógł pomagać tobie, don Luigi – odparł chłopak. – A nie lepiej byłoby odwołać się do woli Bożej? – dopytywał kapłan.

– Pewnie tak, ale o uzdrowienie też mogę Ją prosić. – A gdyby Maryja potrzebowała Ciebie chorego do swoich dzieł, sprzeciwiłbyś się? – Na pewno nie, don Luigi! Do tej pory proszę o uzdrowienie, ale od teraz będę prosić tylko o łaskę uczynienia siebie świętym. Będę pielgrzymował do Lourdes w twoich intencjach.

Od czasu tego spotkania Angiolino zaczął więcej angażować się w postannictwo założonego przez ks. Novarese apostolatu Centrum Ochołników Cierpienia. Modlitwa i ofiarowywanie nawet najdrobniejszych cierpień Bogu za nawrócenie grzeszników pomagały mu znosić coraz uciążliwszą chorobę. Amputacja nogi nie powstrzymała bowiem nowotworu, wkrótce pojawiły się przerzuty do płuc i kolejne bolesne terapie.

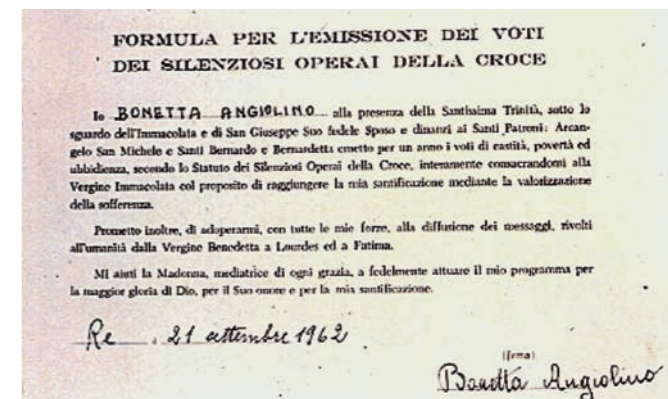
W maju 1962 r. ks. Novarese, poruszony dojrzałością chłopca, zaproponował mu złożenie ślubów we wspólnocie Cichych Pracowników Krzyża. Konieczna była dyspensa z uwagi na młody wiek kandydata. W rozmowach chłopiec podkreślał jednak, że to dzieło go uskrzydla.

– Odkąd przyłączyłem się do Cichych Pracowników, Pan dał mi nieznaną mi dotąd burzę łask. Czuję się silny jak lew i śpiewam od rana do wieczora – mówił Angiolino.

Pojawiały się kolejne przypadki wyproszonych przez niego nawróceń. Na oddziałach szpitalnych nieraz widziano go, jak odmawia z innymi pacjentami Różaniec czy wspiera psychicznie najgorzej się czujących. Komunię świętą przyjmował codziennie, o ile tylko jego stan na to pozwalał.

Sytuacja znacznie pogorszyła się w styczniu 1963 roku – Wiosnę spędzę już, biegając po łąkach Nieba – powiedział mamie. Agonia zaczęła się 27 stycznia. Angiolino jeszcze się wypowiadał, przyjął wiatyki i modlił się razem z czuwającymi przy nim bliskimi. O drugiej w nocy 28 stycznia obudził się nagle i powiedział – Mamo, to już. Oto moja godzina. – I patrząc na figurę Maryi na stoliku nocnym, zmarł.

Jego proces beatyfikacyjny rozpoczął się w 1988 r., a wieść o nim do dziś rośnie w siłę. Kilka dni po



ogłoszeniu dekretu o heroicznosci cnót Angiolino, jego rodzinna parafia napisała, że zainteresowanie jego osobą jest tak duże, iż nie nadążają z drukowaniem i wysyłaniem materiałów o nim.

– Angiolino to bez wątpienia postać niezwykle mocna dla współczesnych młodych ludzi, którzy mają wszystkiego pod dostatkiem. On uczy, że można nawet najdrobniejsze życiowe trudności ofiarować Bogu i nimi służyć – mówi s. Małgorzata Malska, przełożona wspólnoty Cichych Pracowników Krzyża w Polsce.

Pierwsi polscy członkowie tej wspólnoty wstąpili do niej jeszcze za życia bł. ks. Novarese. Jej wielkim przyjacielem był św. Jan Paweł II. Od 2003 roku wspólnota prowadzi w Głogowie Dom „Uzdrowienie Chorych”, służąc rekolekcjami i turnusami rehabilitacyjnymi osobom chorym i niepełnosprawnym.

Na terenie siedmiu diecezji działa również Centrum Ochołników Cierpienia, łączące osoby chore i zdrowe, wspólnie ofiarowujące swoje codzienne cierpienia jako zadośćuczynienie za grzechy, z prośbą o nawrócenie grzeszników oraz w intencji papieża i kapłanów.

– Wcześniej osoby chore były w apostolstwie traktowane jako przedmiot działań, ktoś, komu trzeba przede wszystkim pomóc. Bł. ks. Novarese zwrócił uwagę, że one same też mogą współdziałać i włączać się w apostolstwo swoim cierpieniem – mówi s. Małgorzata. Duchowością ks. Novarese żyje obecnie w Polsce ok. trzech tys. osób indywidualnych, zarówno duchownych jak i świeckich.

Przewodnik Katolicki nr 30/2020

Stulecie Cudu nad Wisłą

Mieczysław Guzewicz

W tym roku obchodzimy dwa ważne okrągłe jubileusze. O pierwszym z nich mówiliśmy w maju. Była to setna rocznica urodzin św. Jana Pawła II. Opatrzność Boża połączyła rok jego urodzin z drugim ważnym wydarzeniem, które rozegrało się w sierpniu 1920 roku. Sam święty papież powiedział o tym w ten sposób: „Wiecie, że urodziłem się w roku 1920, w maju, w tym czasie, kiedy bolszewicy szli na Warszawę. I dlatego noszę w sobie od urodzenia wielki dług w stosunku do tych, którzy wówczas podjęli walkę z najeźdźcą i zwyciężyli, płacąc za to swoim życiem. Tutaj, na tym cmentarzu, spoczywają ich doczesne szczątki. Przybywam tu z wielką wdzięcznością, jak gdyby spłacając dług za to, co od nich otrzymałem” (Radzymin, 13.06.1999 r.).



Od ponad tysiąca lat historia naszej ojczyzny spleciona jest z wiarą w Chrystusa Zmartwychwstałego. Wraz z Dobrą Nowiną na naszej ziemi zaczęła się intensywnie rozprzestrzeniać miłość do Matki Zbawiciela. Większość pięknych katedr wznoszonych w średniowiecznej Polsce nazywano Jej imieniem. Kiedy w 1382 roku książę Władysław Opolczyk ofiarował, sprowadzonym z Węgier, paulinom kościół Najświętszej Maty Panny na wzgórzu koło Starej Częstochowy, a następnie przekazał im w 1384 roku obraz

Matki Bożej z Dzieciątkiem, miejsce to stało się centrum kultu maryjnego dla wszystkich mieszkańców Rzeczypospolitej.

Mało znany jest fakt, że w nieco późniejszym okresie, w sercu i umyśle księdza Hiacynta Orselliego zro-

dziło się pragnienie, aby Warszawa stała się Częstochową Północy. Kapłan ten, wywodzący się ze zgromadzenia Księży Pijarów, skierowany został do Polski w celu zakładania szkół pobożnych. Kierując się do Warszawy, po drodze odwiedził Klasztor Jasnogórski. Tam właśnie odczuł pragnienie usytuowania w mieście, do którego go skierowano, wizerunku Madonny, która będzie chroniła szkoły i miasto. Ponieważ nie znalazł w Warszawie obrazu, któremu można było powierzyć to zadanie, postanowił ufundować działo malarskie, wzorowane na rycinie Madonny Łaskawej przywiezionej z jego rodzinnych stron we Włoszech, z Ferenzy. 24 marca 1651 roku, w wigilię uroczystości Zwiastowania Pańskiego, oficjalnie zaprezentowano obraz Matki Bożej Łaskawej ludowi stolicy. Uroczystego poświęcenia dokonał nuncjusz papieski abp Giovanni de Torres. W jej trakcie odczytana została bulla papieska ustanawiająca kult *Mater Gratiarum Varsaviensis* (Matki Łaskawej Warszawskiej), której kilka miesięcy później zawierzono losy Rzeczypospolitej Obojga Narodów, obwołując ją *Custos Poloniae* (Strażniczką Polski). Warto zauważyć, że miało to miejsce kilka lat przed aktem króla Jana Kazimierza, dokonanym w 1655 roku we Lwowie, uznającym Maryję jako *Regina Poloniae* (Królową Polski).

Matka Boża Łaskawa szybko wstawiła się bardzo skutecznymi protekcjami, szczególnie w czasie wielu epidemii, ogarniających swoim zasięgiem nie tylko Warszawę, ale i inne ważne miasta Polski w okresie od XVII do XIX wieku.

Nadszedł burzliwy początek wieku dwudziestego. Zakończenie I wojny światowej przyczyniło się o odzyskania przez Polskę niepodległości po 123 latach niewoli. Jednak rok wcześniej w Rosji władzę przejęli komuniści, którzy nie ukrywali, że ich celem jest „Międzynarodowa Republika Proletariackiej Europy, z sowiecką władzą w Polsce, Ukrai-

nie, Litwie, Łotwie, Estonii i Finlandii”. 18 grudnia 1918 roku dowództwo armii zachodniej Związku Sowieckiego wydało dyrektywę wyzwolicielskiego marszu na zachód. 5 stycznia 1919 roku bolszewicy zajęli Wilno, w lutym Mińsk, konsekwentnie posuwając się w kierunku Warszawy. 10 marca 1920 roku komuniści sowieccy przyjęli plan rozgromienia Polski. Warto przypomnieć, że wiele krajów Europy nie ukrywało sympatii wobec planów Lenina. Austria, Belgia, Niemcy, a nawet Anglia nie tylko odmówiły pomocy Polsce, ale także utrudniały przekazywanie wsparcia militarnego i żywnościowego.

Latem 1920 roku los Polski i Europy był już przesądzony. W lipcu ruszył w kierunku Warszawy



osiemsettyśmienny Front Zachodni, na czele którego stał młody generał Michaił Tuchaczewski, stanowiący forpoczta pięciomilionowej Armii Czerwonej. W Polsce nastąpiło wtedy ogromne

poruszenie i powszechna mobilizacja mężczyzn od siedemnastu do czterdziestu ośmiu lat życia (oficerów rezerwy do pięćdziesięciu). Do broni udało się powołać ok. milionową armię, złożoną głównie z ochotników. Formacje z czerwoną gwiazdą na czapkach w szybkim tempie posuwały się naprzód. 29 lipca padły Łomża, Białystok i Bielsk Podlaski. Dzień później w Białymstoku zaczął działać Komitet Rewolucyjny Polski na czele z Feliksem Dzierzyńskim. Maszerujące wrogi wojska szybko zastąpiły z okrucieństwa i rządu mordowania „wrogów rewolucji”.

Na początku sierpnia 1920 roku Naczelnik Józef Piłsudski zorientował się, że Rosjanie planują atak na stolicę od wschodu z jednoczesnym okrążeniem jej od północy i południa. Podjął więc plan, sugerowany przez generała Tadeusza Rozwadowskiego, przeprowadzenia kontruderzenia znad Wieprza. Wiązało się z nim wielkie ryzyko, którego obawiała się

nawet większość oficerów. Decydujące uderzenie planowano na 15 sierpnia. Bezpośrednio po podpisaniu rozkazu Marszałek zwrócił się do kardynała Aleksandra Kakowskiego o skierowanie do armii kapelanów. Biskupi zgodzili się oddać do wojska 5 proc. kapłanów z diecezji. Do służby zgłaszało się wielu prefektów wraz z młodzieżą. Znamienne są słowa skierowane do premiera Wincentego Witosa, w których Piłsudski miał powiedzieć: „Losy wojny są w ręku Boga, ale ludzie są po to, aby wojnie dopomóc. Decydujące słowo będzie należało do Boga”.

Równocześnie na początku sierpnia została podjęta powszechna ogólnopolska krucjata modlitewna w formie nowenny w intencji Ojczyzny – trwała ona od święta Przemienienia Pańskiego do Wniebowzięcia Matki Najświętszej. Niedzielę 8 sierpnia 1920 roku ustanowiono w Warszawie dniem publicznych modlitw z generalnym rozgrzeszeniem i Komunią Świętą. Przez kolejne dwa dni ulicami miasta chodziły procesje wiernych z chorągwiami, śpiewających pieśni i proszących Boga o zwycięstwo.

Tragizm sytuacji pogłębił się, kiedy 10 sierpnia premier Witos otrzymał depezę z Londynu informującą, że obradujący tam przedstawiciele mocarstw zachodnich uzależnili udzielenie pomocy Polsce od ustąpienia Piłsudskiego ze stanowiska naczelnego wodza. Polacy mogli więc liczyć tylko na siebie i na Maryję.

Dzień później armia Tuchaczewskiego zajmuje Wyszaków, oddalony od stolicy o 50 kilometrów. 13 sierpnia bolszewicy zajmują Radzymin. Tego samego dnia zbudowano pod Kolumną Zygmunta ołtarz polowy, na którym wystawiono do publicznej adoracji relikwie błogosławionych Andrzeja Boboli i Władysława z Gielniowa (osiem lat później bł. Andrzej został kanonizowany). Korpus dyplomatyczny opuścił w tym dniu stolicę. Pozostał tylko nuncjusz Achille Ratti, późniejszy Ojciec Święty Pius XI.

14 sierpnia dowództwo Armii Czerwonej podjęło decyzję o uderzeniu na Warszawę najkrótszą drogą, przez Ossów, Turów i Ząbki. W czasie głównego ataku na pierwszej linii frontu obok polskich

ugrupowań, składających się głównie z uczniów i studentów, bez broni, z krzyżem w dłoni posuwał się naprzód dzielny ksiądz Ignacy Skorupko. Wkrótce, z okrzykiem na ustach: „Za Boga i za Ojczyznę”, upadł martwy, rażony kulą agresora. Moment ten podaje się jako punkt zwrotny w bitwie. Bolszewicy wzięci do niewoli mówili, że widzieli księdza w komży z krzyżem w ręku, a nad nim Matkę Bożą.

W nocy z 14 na 15 sierpnia wydarzenia potoczyły się bardzo szybko. Batalion Stefana Pogonowskiego, doświadczonego żołnierza, wbrew rozkazom, na kilka godzin przed planowanym odwrotem głównych sił polskich, uderzył na czerwonoarmistów w okolicy Mostek i Wólki Radzyńskiej, wywołując wielki popłoch i chaotyczną ucieczkę. Był to początek końca Armii Bolszewickiej, okupiony krwią młodego porucznika. Historycy nie mają wątpliwości, że atak oddziałów Pogonowskiego zapoczątkował zwycięstwo polskiej Armii na przedpolach Warszawy. Ale jest jeszcze druga część prawdy. Bolszewicy jeńcy wzięci do niewoli mówili, że podczas nocnego ataku wojsk polskich (pod dowództwem bohaterskiego porucznika), widzieli na niebie Matkę Bożą z wizerunku znanego w stolicy jako Łaskawej. Jeńcy mówili, że widzieli na ciemnym niebie ogromną kobiecą postać, promieniującą światłem, potężną i pełną mocy. Nie mieli wątpliwości, że nie była to zjawą, ale żywą osobą, trzymającą tarczę, od której odbijały się ich pociski. Jej szeroki płaszcz unosił się i falował na wietrze, zasłaniając tony widoczne nad Warszawą. Uciekający byli w stanie szoku nerwowego, zgrzytając zębami, ze strachem w oczach, prosili polskich gospodarzy o schronienie przed Carycą – Matier Bożju.

Oddzielnego wyjaśnienia wymaga fakt, że w Drugiej Rzeczypospolitej nie komentowano, ani nie

dementowano powszechnie znanego faktu ukazania się Maryi 14 sierpnia nad umierającym księdzem Skorupką i na niebie w nocy z 14 na 15 sierpnia, w czasie ataku porucznika Pogonowskiego. Była to prawda przemilczana także w późniejszych okresach naszej historii. Nie można jej odrzucić, ponieważ jest bardzo rzetelnie udokumentowana. Powody takiego stanu rzeczy są dobrze znane, ale nie będą się nimi zajmować w naszym opracowaniu.

Warto przypomnieć, że sam Naczelny Wódz Józef Piłsudski był szczerym miłośnikiem Matki Bożej Ostrobramskiej, z wizerunkiem której nie rozstawał się nigdy. Potwierdza to wielu świadków, wśród których jest także wspomniany nuncjusz Achille Ratti, a także kardynał Kakowski. Wizerunek Matki Bożej z Wilna wisiał nad łóżkiem Marszałka aż do jego śmierci. Umierając, mówił że jest pod Jej opieką.

Nazywanie obecnego jubileuszu „Stuleciem Cudu nad Wisłą”, w odróżnieniu od nazwy „Stulecia Bitwy Warszawskiej”, jest przykładem postawy pełnej wdzięczności wobec Maryi. Od czasu przyjęcia Jej w Warszawie na początku 1652 roku jako Strażniczki Polski, a następnie w 1655 roku jako Królowej Polski, doświadczaliśmy niezliczonych potwierdzeń, że rzeczywiście Maryja opiekuje się nami jako swoim szczególnym narodem. Możemy więc z ufnością patrzeć w przyszłość, mimo obecnej pandemii, stale pamiętając o postawie wdzięczności i o gorliwości w proszeniu o dalszą opiekę. [Artykuł napisany w oparciu o książkę: E.J.P. Storożyńska, J.M. Bartnik *Matka Boża Zwycięska*, Kraków 2012].



Pod Twoją Obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko

W obecnej dramatycznej sytuacji, pełnej cierpienia i udręki, która ogarnia cały świat, wołamy do Ciebie, Matko Boga i nasza Matko, i uciekamy się pod Twoją obronę.

O Dziewico Maryjo, miłosierne oczy Twoje na nas zwróć w tej pandemii koronawirusa, i pociesz tych, którzy są zagubieni i opłakują swoich bliskich zmarłych, niekiedy pochowanych w sposób raniący duszę. Wspieraj tych, którzy niepokoją się o osoby chore, przy których, by zapobiec infekcji, nie mogą być blisko. Wzbudź ufność w tych, którzy są niespokojni z powodu niepewnej przyszłości i następstw dla gospodarki i pracy.

Matko Boga i nasza Matko, błagaj za nami u Boga, Ojca miłosierdzia, aby ta ciężka próba skończyła się i by powróciła perspektywa nadziei i pokoju. Podobnie jak w Kanie Galilejskiej, wyjednaj u Twego Boskiego Syna, by pocieszył rodziny chorych i ofiar oraz otworzył ich serca na ufność.

Chroń lekarzy, pielęgniarzy i pielęgniarki, pracowników służby zdrowia, wolontariuszy, którzy w tym czasie kryzysu znajdują się na pierwszej linii frontu i narażają swoje życie, aby ocalić inne istnienia.

Podtrzymuj ich heroiczne wysiłki i daj im siłę, dobroć i zdrowie. Bądź blisko tych, którzy w dzień i w nocy opiekują się chorymi oraz kapłanów, którzy z troską duszpasterską

i zaangażowaniem ewangelicznym starają się pomagać i wspierać wszystkich.

Najświętsza Dziewico, oświeć umysły naukowców, mężczyzn i kobiet, żeby mogli znaleźć właściwe rozwiązania i pokonać tego wirusa. Wspieraj przywódców państw, aby działali mądrze, z troską i wielkodusznością, pomagając tym, którym brakuje tego, co niezbędne do życia, planując rozwiązania społeczne i ekonomiczne z dalekowzrocznością i z duchem solidarności.

Najświętsza Maryjo, porusz sumienia, aby ogromne sumy używane na rozwój i doskonalenie uzbrojenia mogły być wykorzystane do promowania odpowiednich badań, żeby zapobiec podobnym katastrofom w przyszłości.

Najukochańsza Matko, spraw, aby w świecie wzrastało poczucie przynależności do jednej wielkiej rodziny, świadomość więzi łączącej wszystkich, abyśmy z duchem braterskim i solidarnością spieszyli z pomocą w licznych biedach i sytuacjach nędzy. Pobudzaj do stanowczości w wierze, wytrwałości w służbie, stałości w modlitwie. O Maryjo, Pocieszycielko strapionych, weź w ramiona wszystkie swoje niespokojne dzieci i wyproś, aby Bóg zadziałał swoją wszechmocną ręką i uwolnił nas od tej straszliwej epidemii, żeby życie mogło powrócić do normalnego biegu w spokoju. Zawierzamy się Tobie, która jaśniejiesz na naszej drodze jako znak zbawienia i nadziei, o łaskawa, o litościwa, o słodka Panno Maryjo!

Amen.



Wydawca: Cisi Pracownicy Krzyża, ul. bł. Luigiego Novarese 2, 67-200 Głogów, tel. 76 833 32 97
fax 76 832 25 87, e-mail: cpk@lg.onet.pl, www.cisi.pl, www.luiginovarese.org